Nr. 40. Poznań, dnia 4 Października 1908 r. Rok XII.

Abonament
wynosi kwartalnie
na poczcie. . . 1,50
z odnoszeniem
do domu . . 1,62
pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97.
Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

PO SEJMIKU SPÓŁEK.

My Polacy lubimy w przystępach złego humoru zarzucać sobie, iż mimo wiekowej niewoli nie otrząsnęliśmy się z pradziadów naszych historycznych wad, płynących z nieokiełznanej wybujałości indywidualizmu, matki wielu niecnót osobistych i obywatelskich.

Gdyby tak było, jak chcą czasami nasi śledziennicy, natenczas powinny się wady nasze odbijać także na naszych zjazdach i zgromadzeniach. Tymczasem wykazują one zupełnie co innego. Pokazuje się bowiem, że społeczeństwo nasze odznacza się wielką karnością w pracy zbiorowej, a już tam, gdzie chodzi o sprawy większej doniosłości n. p. w dziedzinie finansowej i spółkowej, panuje podziwu godna sprawność i jednomyślność.

Nie wszędzie w świecie odbywają się publiczne zbiorowe narady równie godnie i poważnie, jak u nas. Słyszeliśmy już o bijących się posłach w największych parlamentach europejskich, niejeden pojedynek, zakończony krwawo, był owocem wiecowań w cywilizowanych krajach zachodu — u nas podobnych zajść nie ma.

Zdaje się zatem, że powiastki o rzekomem niewyrobieniu naszem, o naszej niedojrzałości i anarchizmie należy położyć tam, gdzie należą, tj. pomiędzy bajki.

Te refleksye przyszły nam na myśl z okazyi imponującego wprost sejmiku naszych Spółek zarobkowych.

Kilkuset mężów z rozmaitych warstw społecznych, rozmaitego pochodzenia, zawodu i wykształcenia obradowało zgodnie i poważnie przez trzy bite dni o wielu ważnych kwestyach natury społecznej i finansowej, roztrząsało sprawy, z których niektóre wcale nie były pozbawione pierwiastków drażliwych, a cały przebieg i końcowy wynik obrad był tego rodzaju, że wzbudzić musiał szacunek powszechny i słuszną dumę w społeczeństwie, które w nader trudnych warunkach potrafiło wykrzesać z siebie tyle sił dodatnich, że otóż rozporządza setkami milionów z tą samą łatwością, pewnością i spokojem, z jaką zapobiegliwy kupiec zawiaduje swym drobniejszym kapitałem obrotowym.

Nie ulega wątpliwości, że główną zasługę około rozwoju Spółek naszych położyli ci mężowie, którzy sprawie tej cały swój wielki talent, doświadczenie i głęboką wiedzę poświęcili. Oni to potrafili wlać w społeczeństwo — tak do niedawna nieufne jeszcze wobec własnych przedsiębiorstw—wiarę i zaufanie do własnych sił, do instytucyj swojskich. Oni to spopularyzowali ideę gospodarstwa spółkowego, tyle błogiego w skutkach dla społeczeństwa, a przedewszystkiem dla małego rolnika, rzemieślnika, kupca drobnego, jęczących do niedawna jeszcze w szponach lichwiarzy, wysysających niemiłosiernie swe nieszczęsne ofiary.

Jednakże, jakkolwiek wielkie i niespożyte są zasługi tych mężów, to i społeczeństwu, a przedewszystkiem szerokim warstwom ludowym, należy się uznanie, że głos przodowników znalazł posłuch powszechny, że poznano doniosłość zorganizowanego kapitału polskiego naszych dzielnic, że zrozumiano, iż wobec skomplikowanych warunków nowoczesnego życia ekonomicznego tylko ten naród zapewni sobie jakie takie miejsce pod słońcem, który zdoła się zastosować do zmienionych i ciągle się zmieniających, a coraz trudniejszych warunków ekonomicznego bytu.

Poznano olbrzymią potęgę twórczą kapitału i rzucono się do gromadzenia go w większych i mniejszych zbiornikach finansowych t. j. naszych bankach, skąd jego strumień ożywczy, płynie w żyły społeczeństwa, czem są poszczególne mniejsze przedsiębiorstwa, własność ludzi prywatnych.

Doniosłość naszych banków jest dla całego naszego życia gospodarczego niezmiernie ważna. Dostarczają bowiem taniego kredytu, bez czego nie marzyć dzisiaj o prawidłowym rozwoju interesu. Iluż kupców, przemysłowców, rolników, rzemieślników kredytowi, który znaleźli w bankach naszych, zawdzięcza możność rozszerzenia swych obrotów, warsztatów, gospodarstw, a nawet wprost możność rozpoczęcia zarobkowania na własną rękę!

To też zainteresowanie się rozwojem spółek naszych rośnie z rokiem każdym i każdy ich postęp uważanym bywa słusznie za zdobycz całego społeczeństwa.

Takiem stwierdzeniem zdrowego i ważnego rozwoju naszego gospodarstwa spółkowego, a z niem wielkiej części naszego majątku zbiorowego był ostatni sejmik, najwspanialszy ze wszystkich dotychczasowych.

Poruszono na nim szereg ważnych spraw, co do których w osobnych rezolucyach powzięto stosowne postanowienia i wydano obowiązujące dyrektywy. Wyświetlono kilka spraw spornych. Objaśniono zgromadzonych o niejednej ważnej rzeczy, rozproszono niejedno uprzedzenie i wzmocniono na nowo wzajemny dobry stosunek społeczeństwa do spółek i odwrotnie.

Nie możemy dawać szczegółowego sprawozdania z trzechdniowych obrad sejmiku, nie przytaczamy także szeregu rezolucyi, które tam przyjęto. Prowadziłoby to za daleko. Natomiast nie od rzeczy będzie zaznaczyć dwa momenty z licznych i wyczerpujących przemówień księdza Patrona.

Z tych jeden dotyka sprawy depozytów, nagromadzonych w naszych spółkach. Wynoszą one 123 miliony marek.

Imponująca to liczba. Jednakże i na tę sprawę nauczył nas ks. Patron patrzeć krytycznie. Wywodził on, że jakkolwiek oszczędność jest podstawą wszelkiego rozrostu gospodarczego, to jednak od sposobu, w jaki zużywa zaoszczędzone pieniądze, zależy gospodarcza wartość danego osobnika. Jeżeli n. p. kupiec, rzemieślnik, rolnik i t. d. każdy zaoszczędzony grosz skrzętnie zanosi do banku i zadowala się zgarnianiem dorocznych odsetek, nie myśląc o powiększeniu interesu zaoszczędzonym kapitałem, to dowodzi to, że odnośny osobnik nie jest przedsiębiorczy, że nie potrafi operować swym kapitałem z należytym pożytkiem dla siebie. Jasna bowiem, że procent, jaki odbiera w banku, znacznie musi być mniejszy od zysku, jakiby kapitał przyniósł, gdyby go umieszczono w dobrze prosperującem przedsiębiorstwie. Zatem jeżeliby się owe 123 milionów marek miały składać z sum większych, wyciągniętych bądź to z zakładów handlowych, bądź przemysłowych, bądź z roli, mniejby było powodu do zadowolenia, aniżeli wtedy, jeżeliby stanowiły sumę drobnych a licznych depozytów. W pierwszym bowiem przypadku pokazałoby się, że posiadamy dużo osób mało produktywnych, mało obrotnych i zaradnych, co by było niepocieszającą rzeczą dla społeczeństwa, w drugim natomiast mielibyśmy dowód, że posiadamy oszczędny lud robotniczy, boć przeważnie on składa małe kwoty w bankach, które z powodu swej małości inaczej produktywnie założone być nie mogą.

Najważniejsza jednak, co ksiądz Patron powiedział o pewności owych depozytów w spółkach naszych. Oświadczył zaś z całą stanowczością, że depozyta są w bankach naszych absolutnie pewne i będą niemi póty, póki banki będą rządziły się temi samemi zasadami, co dotychczas.

Słowo tak wybornego znawcy naszych spółek i wytrawnego finansisty, jakim jest ksiądz Patron, winno wzbudzić zaufanie nawet u tych, którzy nie wiedzą o daleko idących materyalnych gwarancyach, jakie stanowią udziały członków, sumy gwarancyjne i wielkie fundusze rezerwowe zapewniające bezpieczeństwo depozytów. Ponieważ zaś wykluczona jest obawa, by zasady obowiązujące obecnie spółki nasze mogły się zmienić na gorsze, zatem nie ma najmniejszych powodów do jakiejkolwiek wobec banków naszych nieufności.

Składajmy więc spokojnie pieniądz nasz w tych instytucyach, które budzą podziw nawet u wroga. Niech grosz zaoszczędzony nie spoczywa bezczynnie i ze stratą odsetek w skrzynkach, węzełkach lub pończochach, nie nośmy pieniędzy do kas komunalnych lub prywatnych banków obcych, zajmujących się spekulacyą, lecz nieśmy je do polskich banków ludowych, które niemi obracać będą na pożytek właściciela i całego społeczeństwa.

Z innych na sejmiku poruszonych spraw na pilną uwagę zasługuje sprawa ułatwienia kredytu rzemieślnikom, o czem także już i w naszem piśmie była mowa, jakoteż kwestya dyskontowania weksli.

Apel sejmiku do społeczeństwa konsumującego, by płaciło gotówką lub wekslem za dostawiony towar, powitany będzie z uznaniem w kołach kupieckich i rzemieślniczych. Życzyć należy, by przedewszystkiem znalazł posłuch w szerokich kołach publiczności. Nadmierne wyzyskiwanie kredytu bowiem utrudnia niesłychanie byt naszego przemysłowca i naraża go na wyzysk ze strony dostawcy.

Na końcu pragnęlibyśmy podnieść jeszcze jeden ważny szczegół, a mianowicie to, co ks. Patron mówił o udzielaniu pożyczek przez spółki. Mówca zaznaczał, że oczywiście spółki winny baczyć, by pożyczki, jakich udzielają, były zapewnione, bądź to przez podkładki hypoteczne, bądź przez żyra osób odpowiedzialnych. Jednakże akcentował silnie, by także uwzględniano moralne gwarancye, jakie dłużnik daje, a więc: uczciwość, trzeźwość, obrotność, pracowitość, doskonałą znajomość fachu i inne tego rodzaju przymioty, wróżące pomyślnie o przyszłości dłużnika pod względem majątkowym. Że osobnikowi takiemu można powierzyć stosowną sumę, chociażby czysto materyalne gwarancye, jakich dostarcza, niezupełnie odpowiadały przyjętej w spółkach naszych normie — każdy chętnie przyzna. Takie stanowisko banków naszych nietylko nie sprzeciwia się w niczem własnym interesom spółek, lecz równocześnie przeciwdziała zmateryalizowaniu i wpływa umoralniająco na szerokie koła społeczeństwa, stawiając mu przed oczy wielką wartość osobistej i zawodowej dzielności i obrotności poszczególnych jednostek.

Reasumując, co się powyżej powiedziało, należy z radością stwierdzić, że ostatni sejmik Spółek znów był krokiem naprzód na drodze wiodącej do naszego usamodzielnienia ekonomicznego, przykładem, że społeczeństwo nasze pracować chce i umie, dowodem, że posiada wielki zastęp mężów wybitnych, pierwszorzędnych zdolności, mężów ożywionych wielką miłością narodu i zapałem służenia mu.

Takie narody zaś nie giną... Owszem, prędzej, czy później, lecz napewno, dojdą do tego znaczenia w świecie, na jakie zasługują.

Cześć zatem zbożnej pracy i jej przodownikom!

W każdych innych stosunkach ludzkich może być kłamstwo, a ziemia—to prawda... Ziemi nie można oszukać, ale i ona: da albo nie da, ale nie oszuka... Dlatego ziemię kocha się tak, jak prawdę — a że się ją kocha, więc i ona uczy kochać... I rosa pada nietylko na zboża, nietylko na łąki, ale jakby i na duszę, i człowiek staje się lepszym, bo jak ma do czynienia z prawdą i kocha, to jest bliżej Boga... Ostatecznie, kto wyszedł z ziemi, tego do ziemi ciągnie...

* * *

Widziałem mnóstwo rzeczy marnych, ale wiesz co mi się wydaje najmarniejszem w tobie, i w tobie podobnych? Oto, że wy, którzy wyzwalacie się ze wszystkiego, — nie uznajecie nad sobą nic, boicie się jak ognia każdej uczciwej prawdy, dlatego tylko, że ktoś kiedyś mógł ją już wypowiedzieć! Jakie to liche, to dalibóg słów brak!

* *

To rzadka rzecz — szczęście i tak się trzeba umieć z tem dobrze obchodzić! Szczęście to jak oczy: lada prószynka — i zaraz poczynają łzy płynąć.

Henryk Sienkiewicz.

U nowej trumny wielkiego hetmana.



Stanisław Żółkiewski, hetman i kasztelan wielki koronny. — Ur. r. 1547—um. 7. 10. 1620 r.

W dniu św. Michała starożytna Żółkiew ze czcią należną pogrzebała śmiertelne szczątki swego założyciela, rozrzucone ręką świętokradzką, co im spokoju wiekuistego pozazdrościła.

Pochyliły się znowu kornie głowy całej Polski przed prochami wielkiego człowieka, który czynami swoimi zapisał się po wieki całe w wdzięcznej pamięci narodu — tak, jak chyliły się przed laty trzystu przed tryumfalnym jego powrotem z pod Kłuszyna i Smoleńska, jak nawet głowa koronowana pokłon mu wówczas oddała i cześć w wielkich uznaniu zasług.

Wracał w poszóstnej karocy pogromca Moskali, a za nim carowie Szujscy, w niewolę przezeń pobrani, wlekli się, by czołem uderzyć przed królem polskim, co syna swego miał słać niebawem na tron moskiewski. Otwierała się Polsce nowa wtedy przyszłość oparcia się na dwu mocarstwach — nie porodziłyby się były może na polskiej ziemi Maciejowice i rozbiory, klęski i pohańbienia własne, gdyby głosu Żółkiewskiego usłuchano i ze świeżych jego korzystając zwycięstw, czemprędzej królewicza polskiego osadzono w Moskwie.

I raz jeszcze głos jego przeszedł przez szeregi żołnierskie i — zamarł bez echa. Na hasła karności i posłuszeństwa odpowiedziała mu samowola i swawola obozowa — niekarne i nieposłuszne wojsko nasze pod Cecorą odpoczywać chciało, gdy należało iść naprzód, a uciekać, gdy bić się trzeba było.

I to była cena klęski cecorskiej, a zarazem cena głowy osiwiałego hetmana, co z kilku najwierniejszymi został na polu bitwy aż do końca, porąbany i posiekany aż do tej krwawej pozostał chwili, gdy w szyję jego wżarł się miecz turecki.

Z posoką krwi hetmańskiej spadły się po kraju pogłoski, że trumny bohaterów narodowych: Daniłłowiczów, Sobieskich, Żółkiewskich znajdują się w wielkiem zaniedbaniu, ludzie dobrej woli, a w pierwszym rzędzie obywatele Żółkwi ze znanym miłośnikiem żółkiewskich pamiątek, tamtejszym starostą Juliuszem Szumlańskim na czele — pomnie i pochować je na koszt całego kraju.

* * *

Zwłoki hetmana przywiozła do kraju jego żona, zamknięte w kłodzie drewnianej, wylanej smołą. W tej kłodzie przechowały się one do dzisiejszego dnia, podczas gdy zewnętrzne dwie trumny, srebrna i cynkowa, zginęły. Kłodę wraz ze szczątkami innych trumień drewnianych, znalezionych w krypcie pod kościołem, pogrzebano na cmentarzu.

Obecnie szczątki hetmana, zamknięte w nowej trumnie metalowej, umieszczono w jednym sarkofagu, zaś resztę znalezionych szczątek w drugim.

Oba sarkofagi z czarnego marmuru, opatrzone są napisami. Na pierwszym napis brzmi:

„Stanisława Żółkiewskiego szczątki śmiertelne roku 1620 z Cecory do tego podziemia zwiezione, a potem śród nieszczęść Ojczyzny sponiewierane, późna potomność, wielkich czynów pamiętna, w tym nowym grobowcu złożyła R. P. 1908."

Na drugim zaś:

„Tu spoczywają zebrane szczątki Jana Żółkiewskiego († 1623), Reginy z Herbertów Żółkiewskiej († 1626), Zofii z Żółkiewskich Daniłłowiczowej († 1634), Stanisława Daniłłowicza († 1636), Krzysztofa Żółkiewskiego († 1640), Jakóba Sobieskiego († 1646)."

Kryptę w kościele zamknięto płytą bronzową, wykonaną w pracowni p. Sknurzyła we Lwowie według projektu artysty rzeźbiarza p. Popiela. Na rogach płyty umieszczono zdjęte z dawnego nagrobku 4 lwie łby z kółkami służącemi do podnoszenia płyty.



Odsłonięcie pomnika Żółkiewskiego w Żółkwi.
Przed kilku laty wzniesiono wielkiemu hetmanowi w rodzinnem jego mieście, Żółkwi, pomnik, którego uroczyste odsłonięcie przedstawia powyższa rycina.

na Polskę bolesne dwa wyrzuty o dwie zbrodnie narodowe, co wolność naszą zgubiły. Myśmy zawsze byli lekkomyślnie wspaniałomyślni, wadę łącząc z wyniosłą szlachetnością wobec tych, co na to nie zasługiwali — a mieliśmy wśród nas samych i mamy ich wciąż jeszcze takich, co z pod rozkazów, z wysokości buńczuków hetmańskich rzucanych, wyłamują się niekarnie, własne mając bogi, własne rozumy.

Ale z tą samą posoką krwi hetmańskiej spłynęły także na potomność całą obowiązki, by tych wad się wyzbyć, by nowe się nie powtarzały Cecory, bo nam zbraknie na męczeństwa nowe takich przeczystych postaci, jak Stanisław Żółkiewski.

W szkarłatną trumnę złożono kości wielkiego hetmana, w szkarłat męczeństwa przyoblekło się jego imię w dziejach polskich — niechże i ta krew jego przelana pod Cecorą, która teraz po raz drugi przypomina się narodowi, oczyści winy jego i w nowe go przystroi szkarłaty miłości świętej sprawy naszej.

Od trumny hetmańskiej bije blask... czerpmy z niej siłę do dalszej pracy o prawdę i światło!

* * *

Kiedy przed czterema laty rozeszły częli dokładać starań, aby stwierdzić istotny stan rzeczy.

Rzeczywistość była przykra. 20, 25, 26 lipca 1905 r. grono konserwatorów zabytków historycznych stwierdziło istotne zaniedbanie: osiem trumien z resztkami kości i szatami poszarpanemi leżało zbutwiałych, szczątki zwłok w trumnach poprzewracane tak, iż trudno było dociec, kto w nich był złożony.

Po dłuższych badaniach poznano zwłoki Stanisława Żółkiewskiego: w kłodzie drzewa wyżłobiona trumna, oblana smołą, zawierała jedwabną czapeczkę i ostatki siatkowej materyi srebrnolitej, po za tem cały szkielet, wyjąwszy kilka kości, rozsypany w proch.

Domyślania i hipotezy rzeczoznawców potwierdziły opowieści wiekowych ludzi. Starcy nad grobem stojący zeznawali, że w latach młodości słyszeli, iż kiedyś w owej kłodzie drewnianej, sprowadzono zwłoki wielkiego hetmana.

Inne szczątki, znalezione w podziemiach, a nierozeznane, postanowiono zebrać razem i pochować we wspólnym grobowcu, a szczątki Stanisława Żółkiewskiego umieścić w metalowej tru-

* * *

Uroczystość żółkiewska przeniesienia prochów wielkiego hetmana przybrała rozmiary niezwykle imponujące. Pociągi pospieszne i zwyczajne przywiozły dziesiątki tysięcy rodaków z wszystkich zakątków Polski. W wspaniałym pogrzebowym pochodzie wzięły udział liczne delegacye robotnicze, włościańskie, mieszczańskie i obywatelskie, oraz reprezentacye duchowieństwa i rządu krajowego. Miasto całe było pięknie przystrojone. Przy sarkofagu, ustawionym na rynku, odprawił żałobne nabożeństwo ks. arcybiskup Bilczewski, patryotyczne kazanie wygłosił ks. biskup Bandurski. Po nabożeństwie przemawiali: Henryk Sienkiewicz, poseł Stanisław Głąbiński, prezes Koła polskiego, Bandrowski imieniem Towarzystwa Szkoły Ludowej, radca Fischer oraz burmistrz miasta Żółkwi Steybal i inni. Sokolstwo w liczbie przeszło 1000 uczestników przybyło osobnemi pociągami.

Cecorskie pola.

Cecorskie pola przedemną!
Ty, — choć daleka, idź zemną...

Mówią, że grobla przerwana
Niedaje do pól się dostać,
My idźmy. Ta polska rana
Niech bliżej na oczy stawa,
Niech nas ogarnie jej sława
I Żółkiewskiego postać!

Deszcz leje, wietrzne i ciemne —
Cecorskie pola przedemną!...
Pogladam w ziemię stroskany,
Gdzie krzyż i koncerz złamany,
Gdzie Chrystusowych rycerzy
Czaszka i ramię i goleń...
Chcę być promienny! Choć płaczę...
Ja, braniec z wielkiej rubieży,
Ja, syn niewolnych pokoleń...

Hetmanie mój, Hetmanie!
Baranku nasz ofiarny!
Wzywam cię, ojcze i panie,
Biedny, pokorny, cichy,
Chroń mnie od rodowej pychy,
Wstaw się, bym przeszedł niemarny,
Na mej ojczyzny pożytek,
Jak dobrej woli przybytek!
We wdzięcznej, czy ciężkiej doli
Przysparzaj mi czystej woli;
Prawdzie chcę służyć i zawdy
Przecierpieć krzywdę dla prawdy;
Nie pragnę w chwale zasłynąć,
Byle jak promień — przeminąć!

Kornel Ujejski.

Z nieogłoszonej dotąd puścizny rękopiśmiennej podała do druku.

M. Wolska.

Zło może się filtrować przez życie tak tajemniczemi drogami, iż rozum ludzki nigdy ich nie wyśledzi.

* * *

Szlachetne dusze płacą za ufność wdzięcznością, podłe — pogardą.



Brama warowna w zamku żółkiewskim.

Zamek żółkiewski był siedzibą Żółkiewskich, Daniłłowiczów i Sobieskich. Do licznych po nich pozostałych pamiątek należy także brama warowna, którą obrazuje powyższa rycina. Obecnie zamek Żółkiewskich zajęty jest przez starostwo.

Zło wraca, ale może także wrócić jako zgryzota i jako żal, a wówczas Pan Bóg poprzestaje na takiej pokucie i więcej nie karże.

* * *

Dobry człowiek nigdy nie zgorzknieje.

* * *

Jak się zrobi jakaś fałdka gdzieś w głębi serca, to całe życie nie można jej potem wyprostować.

* * *

Społeczeństwo nasze trzyma swoich geniuszów na dyecie.

Niesłychane zarzuty, — znakomita odprawa.

Na zjeździe delegatów towarzystw Niemców-katolików w Nakle wystąpił obok innych walecznych iście pruskich „katolickich“ mężów także rejencyjny tajny radca szkolny z Bydgoszczy p. dr. Waschow i według sprawozdania hakatystycznej „Ostdeutsche Rundschau“ następujące niesłychane zarzuty podniósł przeciwko polskiemu Duchowieństwu naszych dzielnic.

„Towarzystwo niemieckich katolików — powiedział dr. Waschow — nie może się niczego spodziewać od polskiego duchowieństwa, które religii używa w tym celu, ażeby ogół doprowadzić do zamysłów przeciwpaństwowych i nieziszczalnych, nie może się niczego spodziewać od duchowieństwa, które wyzyskuje konfesyonały w powyższym celu, które oświadcza, że tylko modlitwa polska jest przyjemną Matce Boskiej i które we mszy św. modli się do Najwyższego o błogosławieństwo dla krnąbrnych dzieci, a pozatem podburza.“

Na te potworne zarzuty otrzymał p. dr. Waschow w „Dz. Bydg.“ znakomitą i godną odpowiedź od ks. prob. Gryglewicza z Ślesina.

Ks. Gryglewicz pisze:

„Zaprawdę, aż się prawie wierzyć nie chce, aby tak wysoki urzędnik, jak tajny szkolny radca regencyjny p. dr. Waschow z Bydgoszczy, urzędnik, który przy nadarzającej się sposobności lubi z przyciskiem zaznaczać, że jest dobrym katolikiem, mógł duchowieństwu polskiemu tak ciężkie poczynić zarzuty, jak je czytamy w referacie „Ostdeutsche Rundschau“ ze zjazdu niemieckich katolików w Nakle. Jeżeli atoli pan dr. Waschow referatu tego nie sprostował, przyjąć trzeba, że zgodny jest z rzeczywistością, ale bez odpowiedzi zostawić go nie można.

Od pana dr. Waschowa domagać się można i trzeba koniecznie, aby faktami udowodnił i po nazwisku wymienił choć kilku kapłanów, a nawet jednego polskiego kapłana, który

1. religiii w tym celu używa, ażeby ogół doprowadzić do przeciwpaństwowych, nieziszczalnych zamysłów,
2. który konfesyonał wyzyskuje w powyższym celu,
3. który oświadcza, że tylko pol-

ska modlitwa jest Matce Boskiej przyjemną,

4. który w mszy św. modli się o błogosławieństwo dla krnąbrnych dzieci,
5. który pozatem jeszcze ogół podburza.

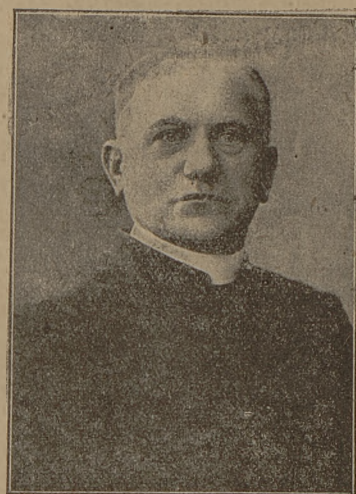
Zarzuty te są tak ciężkie, tak obelżywe i polskiemu duchowieństwu w tak wysokim stopniu uwłaczające, że każdy je z oburzeniem odeprzeć musi i byłoby na miejscu, aby polskie duchowieństwo zbiorowem wystąpieniem przeciw tymże zarzutom zaprotestowało i pana dr. Waschowa przez wyższe władze zniewoliło do udowodnienia tychże faktami lub do ich odwołania. Nie zapominajmy, że pan dr. Waschow jest decernentem w sprawach katolickich, przy rejencyi bydgoskiej!

Pan dr. Waschow głosi publicznie, że wśród polskiego duchowieństwa są kapłani — podżegacze, którzy religii w tym celu używają, aby ogół do przeciwpaństwowych zamysłów doprowadzić, a prokuratorya pruska tego nie widzi, kiedyć przeciwko nim nie występuje? Czemuż to pan dr. Waschow przed niepowołanymi takie ciężkie zarzuty rozwija, a raczej winnych przed sądy nie pociąga?

Zdaje się, jakoby pan dr. Waschow w swych wywodach miał zeszłoroczny strejk na myśli, ale pytam go się, czy tam chodziło o jakieś antypaństwowe zamysły? Przecież ustawicznie słyszymy, że państwo nie zamyśla dzieci polskich niemczyć; jestże to zbrodnią, jeżeli rodzice swych dzieci przed germanizacyą, tam gdzie jej niebezpieczeństwo widzą, bronią? A jeżeli o polską naukę religii się upomnieli, cóżby państwo ucierpiało na tem, gdyby polskie dzieci w polskim języku też naukę otrzymywały? Przecież w niektórych szkołach jeszcze dziś religii w polskim języku udzielają, a czyż stąd dla państwa jakaś szkoda wynika?

Niechże pan dr. Waschow jako dobry katolik odpowie przed Bogiem i swem katolickiem sumieniem, czy, pominąwszy inne przedmioty, zwłaszcza **naukę religii należy dzieciom utrudniać, czy też raczej ułatwiać?** Utrudniać, czy ułatwiać należy dziecku tak świętą sprawę, jak aby Boga poznało, aby mogło całem sercem Go umiłować, wiernie Mu służyć, a przez to się zbawić? Niechże odpowie, czy dziecko nauczane w obcym, a więc niezrozumiałym dla siebie języku, w języku, którego dopiero uczyć się poczyna, łatwiej i lepiej pozna Boga, prawdy wiary i wynikające z niej obowiązki, niż gdyby je w ojczystym tak ważnych, tak świętych rzeczy nauczano? Nie kto inny jak Bismarck, którego p. dr. Waschow z pewnością wielkim jest wielbicielem, wyznał szczerze, że choć doskonale znał język francuski, ani z kazania w tym języku słyszanego, nie odniósł odpowiedniego wrażenia, ani też szczerze do Boga w obcym języku modlić się nie umiał.

O tymże Bismarcku pisze Amerykanin John Both w swych „Wspomnieniach,“ że w czasie kongresu, który po wojnie rosyjsko-tureckiej odbywał się w Berlinie, znajdował się w tak dale-



Ks. prob. Gryglewicz ze Slesina.

ce rozdrażnionym stanie, że nawet uczuwał ochotę opuszczenia Berlina. Czemu? Oto, jak sam wyznał, dla tego, że musiał przemawiać w obcym języku. I uskarżał się na ten przymus wobec wspomnianego autora: „Ganz abgesehen von der Wichtigkeit der Verhandlungen, ist es äusserst angreifend in einer fremden Sprache, wenn man dieselbe auch noch so fliessend spricht, sich korrekt auszudrücken.“ Niechże pan dr. Waschow uczyni tu odpowiednie porównanie: Bosmarck — a szkolne dzieci!! Zwierzył się też Bismarck, że przed każdorazowem posiedzeniem wychylał dwa lub trzy potężne kufle najmocniejszego portweinu, aby zmusić krew do krążenia, lecz przecież tej metody wobec dzieci szkolnych zastósowáć nie można.

A niech pan dr. Waschow nie twierdzi, że tylko tym dzieciom naukę religii po niemiecku się udziela, które już zupełną znajomość tego języka sobie przyswoiły, gdyż przeciwnie, jak o tem dobrze wie, w wielu szkołach dzieci nie rozumiejące ani słowa po niemiecku, zaraz na wstępie do szkoły, nietylko w innych przedmiotach, lecz także i w nauce religii, jedynie tylko po niemiecku uczyć się muszą. Dowody każdego czasu mu stawię. Odnośne zaś rozporządzenia rejencyjne wydane zostały z pewnością nie bez przyczynienia się p. dr. Waschowa, jako decernenta w sprawach katolickich.

Modlili i modlą się kapłani za dzieci, ale nie o błogosławieństwo dla krnąbrnych, lecz raczej za one biedne, nieszczęśliwe dzieci, którym nie danem jest, aby w ojczystym języku Boga poznawały i prawd wiary się uczyły, aby mimo stawianych im trudności ze świętej wiary naszej nic nie uroniły i przez całe życie wiernemi pozostały naszemu Kościołowi świętemu.

Co do modlitwy my twierdzimy, że nietylko Matce Boskiej, ale i Panu Bogu tylko ta przyjemną być może, którą się rozumie i która ze serca płynie, a że taką modlitwa w obcym języku nie jest, na to niech starczy p. dr. Waschowowi jako dowód wspomniany już wyżej Bismarck, który jako Niemiec, choć znał język francuski, mimo to po francusku modlić się nie odważył, gdyż czuł, że taka modlitwa w obcym języku Bogu przyjemną być nie może i serca nie zadowala.

Zarzut p. dr. Waschowa, że między polskiem duchowieństwem są kapłani, którzy nadużywają konfesyonału, a więc tak świętej rzeczy, jak spowiedzi, aby ogół doprowadzić do przeciwpaństwowych zamysłów, jest tego rodzaju, że aby nie przebrać miary w wyrażeniu oburzenia, jakie każdego polskiego duchownego przejmować musi, gdy taki zarzut słyszy, sąd o nim wolę pozostawić każdemu do woli. Dziwić się tylko można, że p. dr. Waschow znając takie przypadki i mając oczywiście na nie niezbite dowody, nie udał się do Władzy duchownej, która sama i jedynie w takich sprawach jest kompetentna, a wolał obrać sobie zgromadzenie świeckich, aby przed niem ulżyć sercu.

Pan dr. Waschow miał odwagę publicznie z nader ciężkiemi zarzutami przeciwko duchowieństwu polskiemu wystąpić, niechże też ma tyle odwagi, aby swe zarzuty udowodnić i odnośne przypadki opublikować. Dopóki to nie nastąpi będziemy wiedzieli, jakie o tych zarzutach mieć mniemanie i jak je sądzić.“

Takbyś się powinien zachować w każdym uczynku i w każdej myśli, jak gdybyś dziś miał umrzeć.

Św. T. a Kempis.

Gdybyś miał czyste sumienie, nie obawiałbyś się śmierci.

Tenże.

Lepiej jest strzedz się grzechu, jak śmierci unikać. *Tenże.*

I cóż po długiem życiu, kiedy się tak mało poprawiamy.

Tenże.



Rzesze ludu zgromadzonego przed kościołem OO. Franciszkanów podczas sumy celebrowanej przez ks. arcybiskupa Bilczewskiego.

Koronacya obrazu Matki Boskiej Bolesnej
w Krakowie.

Uroczystość koronacyi cudownego obrazu Matki Boskiej Bolesnej z kościoła OO. Franciszkanów odbyła się w Krakowie, w niedzielę 20-go z. m. tak wspaniale, tak uroczyście, przy tak głębokim nastroju religijnym, że przeszła wszelkie oczekiwania.

Od trzech dni napływające tłumy pątników wypełniły w niedzielę, począwszy od wczesnego rana, nietylko kościół Franciszkański, ale także cały plac Wszystkich Świętych, plac Dominikański, ulicę Franciszkańską, część ulicy Brackiej i Grodzkiej. Śmiało rzec można, że nie brakowało w nich przedstawicieli żadnej z dalszych nawet okolic Polski. Przeważali Ślązacy, mieszkańcy Podhala i Beskidów, oraz południowej części Kongresówki, wielu w malowniczych strojach ludowych, chociaż nie brakło przedstawicieli inteligencyi zamiejscowej i krakowskiej.

Stosownie do wcześniej ułożonego programu uroczystości, pierwszą mszę św. w niedzielę przed cudownym obrazem Matki Bożej, ustawionym pośrodku prezbyteryum na przenośnym ołtarzu, odprawił ks. biskup Bandurski. Drugą celebrował o godzinie pół do 9-tej arcybiskup Teodorowicz. Wtedy już ścisk w kościele stawał się chwilami tak wielki, że groził katastrofą. Zoryentował się jednak szybko w tej sytuacyi O. gwardyan Karwacki i postanowił przenieść właściwą uroczystość i po niej sumę pontyfikalną na plac Wszystkich Świętych. Bardzo prędko przygotowano ołtarz na zewnątrz przy ścianie prezbyteryum, gdzie przedtem była wystawiona tylko prowizoryczna mównica, pod mozajką, przedstawiającą zachwycenie św. Franciszka, nad którą kilka dni temu zawieszono kopię cudownego obrazu. Następnie zaś przeniesiono z kościoła sam obraz i ustawiono go poniżej.

Gdy przygotowania ukończono, wyszła procesya przed kościół. Na czele szedł wielki orszak duchowieństwa, zakonnicy Franciszkanie i kapituła katedralna krakowska. Za nią niesiono wysoko obraz ponad tysiącami wiernych, których zebrało się przynajmniej 20,000. Za obrazem postępowali w złotolitych szatach pontyfikalnych, w infułach na głowie, z pastorałami w ręku: ks. kardynał Puzyna, księża arcybiskupi Bilczewski i Teodorowicz, księża biskupi Pelczar, Wałęga, Nowak i Fischer. Za książętami Kościoła płynęła olbrzymia fala ludu, śpiewając pieśń: „Serdeczna Matko.“



Cudowny obraz Matki Boskiej Bolesnej w kościele O. O. Franciszkanów w Krakowie.

Z trudem przecisnęła się procesya przez zbite masy. Obraz ustawiono na przygotowanym stole, przed nim zajęli miejsca arcypasterze i duchowieństwo. Odśpiewano jeszcze pieśń: „Pod Twoją obronę“ i „Wesoły dziś dzień nastał;“ poczem rozpoczął się uroczysty akt koronacyi.

Na wstępie z podniesienia przed kościołem odczytany został po łacinie, następnie po polsku dekret koronacyjny, wydany przez kapitułę watykańską. Po odczytaniu duchowieństwo odprawiło modły; ks. kardynał dopełnił poświęcenia korony, a następnie po stopniach stanął przed obrazem w towarzystwie kapłana, trzymającego koronę na poduszce. Ks. kardynał przybrany był w purpurę; na purpurowej szacie miał złotą kapę misternej roboty, na głowie infułę, w ręce pastorał. Ujął koronę i złożył ją na głowie Matki Boskiej. Na widok jaśniejącej korony na obrazie, pochyliły się wzruszone olbrzymie zastępy; modlitwa, zmieszana z płaczem, wypłynęła z serc i dusz katolickich ku Matce Bożej, której obraz unosił się ponad głowami ludzkiemi. Ukoronowany obraz był widziany doskonale przez masy, zebrane na całym placu, aż ku kościołowi OO. Dominikanów. Na tle obrazu złocista korona występowała bardzo wyraźnie z trzema emaliowanemi liliami.

Po dopełnieniu koronacyi, ks. kardynał zwrócił się do zebranych rzesz i wypowiedział krótką przemowę, pełną głębokich myśli, oddając naród w opiekę Matce Bożej. Ks. kardynał wskazał na fakt, iż Ta, co była Matką Syna Bożego i Zbawiciela, wycierpiała tyle na ziemi, że z pewnością wysłucha próśb naszych, gdy się do niej zwrócimy z całem zaufaniem w naszych troskach, cierpieniach i doświadczeniach, jakich tyle na nas spada. Zachęcał więc do ufności w skuteczność modlitwy, która musi być wysłuchaną.

Książęta Kościoła i duchowieństwo przeszli około obrazu przed przygotowany ołtarz i tutaj zajęli miejsca. Ks. arcybiskup Bilczewski zajął miejsce na przygotowanym tronie i włożył na siebie liturgiczne szaty do odprawienia sumy koronacyjnej. Po stopniach wszedł na wzniesienie i w asyście ks. prałata dr. Wądolnego odprawił uroczystą sumę. Po ewangelii ks. arcybiskup Bilczewski zajął miejsce na tronie, a na wzniesienie wszedł ks. biskup Pelczar i wypowiedział kazanie. Na widok kaznodziei, tłumy pragnęły być jak najbliżej ołtarza i prąc naprzód, utworzyły jeszcze więcej zbitą masę, zachowującą się z największą

powagą. Głos arcypasterza słychać było daleko i szeroko. Kaznodzieja podniósł znaczenie obecnej uroczystej chwili; przypomniał cześć, jaką naród nasz oddaje od wieków Pannie Najświętszej. Wskazał, że życie katolickie zapuszcza coraz głębsze korzenie, że naród nasz podnosi się i umacnia coraz więcej. Natchniony kaznodzieja nawoływał pełnemi miłości słowy do dalszej pracy nad odrodzeniem narodu, do zakładania stowarzyszeń katolickich, do wytrwania w wierze; wskazywał wady, które tępić należy, a przy takiem postępowaniu czeka nas lepsze, niedalekie jutro.

Po kazaniu ks. arcybiskup Bilczewski dokończył sumy, w czasie której śpiewał chór pod kierownictwem p. Walewskiego.

Z ukończeniem sumy dobiegły kresu uroczystości koronacyjne. Duchowieństwo powróciło do kościoła; ukoronowany obraz pozostał na zewnątrz, aby tłumy mogły go adorować.

Koło południa na pewien krótki przeciąg czasu zaczęły tłumy rzednąć w kościele, na placach i na ulicach. Ojcowie Franciszkanie zaś tymczasem podejmowali gościnnie obiadem na korytarzach klasztornych przybyłych do Krakowa członków episkopatu galicyjskiego, liczne duchowieństwo zakonne i świeckie — bez mała trzysta osób — oraz przedstawicieli miasta, prasy, władz cywilnych, wojskowych i t. d.

Na popołudnie zapowiedziana była procesya. Pogoda nie była pewna. Od czasu do czasu padał deszcz drobny, jak rosa. Nie wstrzymało to wyjścia procesyi, której wszyscy tak gorąco pragnęli. Procesya w oznaczonym czasie wyszła na Rynek i była, jak gdyby tryumfalnym pochodem.

Udział wzięły wszystkie Bractwa kościelne krakowskie z chorągwiami i feretronami, przybranemi w kwiaty. Około feretronu szli członkowie Bractw podwójnym szpalerem, z płonącemi świecami. W środku szpalerów dziewczęta w bieli, niosące lilie, korony Matki Bożej, małe sztandary. Osobny zastęp tworzyli Sodalisi maryańscy, „Dzieci Maryi“ i katolickie instytucye. Orkiestra weteranów grała stósowne utwory. Duchowieństwo, w liczbie paruset osób, poprzedzało ukoronowany obraz, okolony chorągwiami cechowemi, za którémi szli książęta Kościoła. Procesya z trudem poruszać się mogła wśród mas ludzkich, zapełniających Rynek, mogący pomieścić podobno 40,000 osób. Podczas pochodu procesyi okna mieszkańców katolickich były iluminowane. Przy powrocie procesyi podniosłe



Ks. Kardynał Puzyna.

kazanie przed kościołem wypowiedział ks. biskup Bandurski.

Na licznych uczestnikach, szczególnie z poza kordonu procesya czyniła wrażenie tak silne, jakiego się rzadko w życiu doznaje. Płakali z rozrzewnienia na widok wspaniałej i podniosłej uroczystości religijnej, której podobnych nie widują u siebie.

Pogoda, chociaż niepewna, wytrzymała przecież dzień cały, a niebo posępne harmonizowało niejako z uroczystością, poświęconą „Smętnej Dobrodziejce.“



Ks. Władysław Bandurski,
biskup-sufragan lwowski.

Podnieść trzeba takt organów bezpieczeństwa, z jakim postępowały wobec tłumu, a również wysiłki straży ogniowych: ochotniczej i miejskiej, które przy wejściu do kościoła utrzymywały porządek z dobrym skutkiem.

Ruch kobiecy w Szwecyi.

Jak pomnik w historyi ruchu kobiecego w Szwecyi stoi parlament szwedzki, który w roku 1906 większością głosów w obydwóch izbach (w pierwszej 69 przeciw 60, w drugiej 127 przeciw 100) polecił królowi i rządowi podanie kobiet o wolność głosowania. Tym krokiem stawił rzeczywiście parlament kwestyę tę na porządek dzienny, z którego ona nie prędzej zejdzie, dopóki kobiety szwedzkie nie uzyskają tak samo jak finlandzkie czynnego i biernego prawa wyborczego. W całym bowiem kraju brzmi okrzyk uniesienia, i spadającej lawiny nic już powstrzymać nie zdoła. Jak gorączkowo pracowały kobiety nad urzeczywistnieniem swoich ideałów, wypływa z faktu, że założonemu dopiero w roku 1902 stowarzyszeniu kobiet, a rozszerzonemu w roku 1903 do „Towarzystwa krajowego kobiet głosujących“ już się w r. 1906 udało zebrać nie mniej jak 142, 128 podpisów pod petycyę, przedłożoną parlamentowi. Znajdowały się tam nawet nazwiska kobiet lapońskich — co dowodzi, że ruch kobiet szwedzkich postąpił aż do ludów, mieszkających na ostatecznych krańcach północnej Szwecyi. Podczas pięcioletniego istnienia założyło Towarzystwo 120 lokalnych stowarzyszeń po całej Szwecyi, z których każde jest przy dorocznych zebraniach odpowiednio reprezentowane. Dla członków urządzało Towarzystwo krajowe dwa razy na tydzień dwugodzinne kursa zimowe, na których uczeni miewają odczyty o ekonomii politycznej, o polityce komunalnej, rządowej i innych kwestyach aktualnych. Oprócz tego naśladują posiedzenia parlamentarne z wyborem przewodniczącego — i ćwiczą kobiety w mowach oraz w prowadzeniu publicznych dysput. Dawają tym sposobem kobietom sposobność zapoznania się z przyszłemi obowiązkami matek narodu.

Kto bierze równocześnie udział w ćwiczeniach piśmiennych, musi płacić 15 koron (1 kor.=1.12 mk.) kto się tylko słuchaniem zadowalnia, płaci 10 kor. za kurs.

Ale i członkowie stowarzyszeń lokalnych mają stąd korzyści. Dla nich założono wędrujące biblioteki, które docierają do najodleglejszych miejscowości w kraju. Ogromnie rozpowszechnione są też założone przez Towarzystwo krajowe, tak zwane Koła naukowe, na których 10 lub 12 kobiet zbiera się razem, aby pod kierunkiem człowieka fachowego pracować, wymieniać myśli i uczyć się.

Serca wszystkich tych walczących i naprzód dążących kobiet przepełnia gorące życzenie, aby obecny, w ostatnim z trzech lat okresu wyborczego stojący parlament, doprowadził ich sprawę do ostatecznego zwycięztwa.

Bo jeżeli to się teraz nie stanie, to niecierpliwe kobiety będą musiały czekać jeszcze cztery lata na prawo głosowania, do którego prawnego uznania potrzebną jest zmiana praw, ustanowiona przez dwa rozmaite parlamenty.

Jedną z najzagorzalszych zwolenniczek politycznego ruchu kobiet jest pani Anna Małgorzata Holmgreen, której w pierwszej linii zawdzięczać należy to, że w wszystkich częściach kraju rośnie zapał z niezmierną potęgą. Urodzona i wychowana na wsi, wyszła w 19-tym roku za sławnego fizyologa, profesora Holmgreena w Upsali, zająwszy się żywo już w pierwszych latach małżeństwa społecznemi kwestyami. Wydała nawet na ten temat kilka poważnych i dobrze napisanych dzieł. Po śmierci męża w roku 1897 przeniosła się do Sztokholmu i tam przyłączyła się do ruchu kobiecego, rozwijając niezmierną czynność i wywołując ogromny zapał porywającą wymową. Jeździła po mniejszych miastach, agitowała i nie ustawała w pracy na chwilę.

Drugą taką sławną agitatorką jest panna Anna Lindhagen, siostra deputowanego, który w r. 1902 postawił po raz pierwszy w parlamencie kwestyę głosowania kobiet. Panna Lindhagen jest przyjaciółką Ellen Key, która sprawując dobrowolne urzędy inspektora miejskiego domu dla dzieci i wicegospodarza mieszkań dla robotników, założyła wszystkie ogrody dla robotników w okolicy Sztokholmu. Obie zajmują się gorliwie sprawą kobiecą.

Jedyny żeński dyrektor gimnazyalny w Szwecyi, dr. Lidia Wahlström, oddaje także swoją bogatą wiedzę i porywający dar wymowy na usługi Towarzystwa kobiet głosujących, którego jest prezydentem. Ona sama miała od roku 1903 przeszło 150 odczytów w całej Szwecyi, i założyła mnóstwo towarzystw. Szczególniej zasłużyła sobie na uznanie energią, z jaką żąda równouprawnienia wykształconych na uniwersytetach kobiet z mężkimi kolegami.

Nauczycielka, panna Anna Whitlock, przewodnicząca jednego z prowincyonalnych towarzyst, posiada także niezwykły dar wymowy i wybitny talent organizacyjny.

Najsławniejszą jednak z kobiet szwedzkich jest niezaprzeczenie przewodnicząca Narodowego Stowarzyszenia kobiet, pani Anna Retzius, żona znanego uczonego, która od dwudziestego roku życia poświęciła się sprawie kobiet i cierpiącej ludzkości. Wszędzie zyskała uznanie i wdzięczność. Największą jej zasługą są owe sławne „pokoje pracy,“ które założyła dla biednych dzieci, liczących od lat siedmiu do czternastu. Zapatruje się ona z tego stanowiska na swoje dzieło, że najwięcej pomaga ten bliźnim, który ich uczy, w jaki sposób sami sobie pomódz mogą. Takich „pokojów pracy“ jest obecnie w Szwecyi 72. W Rosyi, Królestwie Polskiem i w Grecyi założono także już kilka.

Na polu rozszerzania i organizacyi dobrowolnego pielęgnowania biednych i chorych, zasługuje na wielkie uznanie pani Agda Montelius, żona szwedzkiego państwowego antykwaryusza i przewodnicząca Towarzystwa imienia Fryderyki Bremer.

Wyłącznie dziełem kobiet jest także instytucya „Swenska Hem,“ pewnego rodzaju kobiecego stowarzyszenia spożywczego (konsumowego) istniejącego od dwóch lat i mającego tylko żeńskich urzędników. Stowarzyszenie to liczy obecnie 1000 członków, z których każdy wpłaciwszy najmniej 20 koron, jest odpowiednio upoważnionym do zysku. Pomimo rozmaitych prześladowań i szykan było w tym roku obrotu 103,000 koron, i to tylko dzięki energicznemu i stanowczemu zarządowi kobiecemu. Wspomnieć również należy jeszcze przy tej sposobności o pierwszym żeńskim szefie fabryki i dyrektorze, pani Elizie Salenius, która wzorowo prowadzi fabrykę, założoną na wyroby, wynalezione przez jej męża.

Nigdzie może nie pracuje kobieta obok mężczyzny tak gorliwie, jak w Sztokholmie. Na poczcie zdaje go się wypierać zupełnie, w zarządzie kolei jest już przeszło 150 urzędników żeńskich. Wielką jest też ilość kobiet i dziewcząt, które stojąc na czele przedsiębiorstw handlowych, walczą z równą jak mężczyzni odwagą o byt i zdobywają go sobie.

Na widowni.

W sprawie przemowy biskupiej, mianej przy zamknięciu rekolekcyi kapłańskich, odebrał „Dziennik“ i „Kuryer“ oświadczenie, podpisane przez stu kilkudziesięciu księży, w którem wyrażono ubolewanie nad nietaktem osoby, która poufne i ze związku wyrwane słowa N. ks. biskupa podała do publicznej wiadomości. Równocześnie oświadczono tam, że obecni nie odnieśli wrażenia, jakoby N. ks. biskup chciał dotknąć naszych spraw wewnętrznych politycznych, natomiast zajmował się kwestyą ze stanowiska religijno-moralnego.

Ruch bojkotowy, skierowany przeciw towarom pruskim, w Królestwie i Galicyi zazwyczaj spotykał się z ironicznemi uwagami w prasie hakatystycznej. Sądzono bowiem, że Polacy nie zdołają przetrzymać bojkotu na czas dłuższy. Obecnie jednak coraz częściej można czytać w gazetach niemieckich głosy, wskazujące z obawą na skutki bojkotu polskiego. Jeżeli mamy wierzyć gazetom niemieckim, to Polacy są bardzo pomysłowi w walce z towarem niemieckim. Jak czytamy, nowy środek bojkotowania towarów niemieckich wymyśliła galicyjska „komisya bojkotowa.“ Zamierza ona wszelkie składy, które bojkotują wyroby pruskie lub niemieckie, zaopatrzyć w tabliczkę odpowiednią. Dalej ogłosi komisya spis firm, które przyłączyły się do bojkotu oraz spis tych firm niemieckich, które bojkotować należy. Z dobrego źródła dowiaduje się „Taegliche Rundschau,“ że wiele galicyjskich firm handlowych zamierza wystąpić przeciw temu naciskowi komisyi bojkotowej.

Nie omylimy się zapewne, jeżeli powiemy, że te firmy galicyjskie, które odgrażają się komisyi bojkotowej, prawdopodobnie przeważnie są w rękach żydowskich. Że żydzi na całym świecie są wielkimi przyjaciołmi Niemców, chociaż ci ich kopią nogami, rzecz przecież znana.

Nowym dowodem, że coraz bardziej rozszerza się u nas zrozumienie gospodarstwa spółkowego, jest założony w Prusach Królewskich przez szereg firm polskich Związek, celem wspólnego zakupu towarów bławatnych, krótkich, garderoby męskiej i żeńskiej. Odtąd Związek będzie zakupywał towary w wielkiej ilości w pierwszorzędnych fabrykach i będzie ich dostarczał swym członkom. Obejmie więc rolę hurtowników, a zysk, jaki stąd dla niego wypadnie, pójdzie do kieszeni członków Związku i wzmocni ich materyalnie. Dla odbiorców wyniknie stąd ta korzyść, że kupcy owi będą mogli lepszy towar po tańszych sprzedawać cenach, gdyż nie będą się potrzebowali opłacać grosistom. Życzyćby należało, aby i u nas w Księstwie powstały podobne organizacye handlowe.

W Niemczech obok kongresów rozmaitych, największe zainteresowanie budzi sprawa naprawy finansów rzeszy, co się bez nowych podatków uskutecznić nie da. Jak wiadomo podatki te wynosić mają 500 milionów marek. Mimo obszernego artykułu, który sam sekretarz skarbowości p. von Sydow umieścił w ostatnim zeszycie czasopisma „Deutsche Rundschau,“ nikt na pewno nie wie, jak te nowe podatki będą wyglądały. Tyle tylko pewna, że rząd zamierza zaopiekować się: piwem, wódką, winem, tytoniem, tudzież gazem i elektrycznością, a nawet inseratami w gazetach. Ta niepewność bardzo nie dobrze wpływa na całe życie gospodarcze w Niemczech, zatem życzyć by należało, aby się nareszcie ta sprawa wyjaśniła. Ostatniemi czasy do znudzenia można czytać w gazetach artykuły o konieczności nowych podatków. O tej konieczności tak da-

lece zdołano przekonać naród niemiecki, że wywołano w nim wielką gotowość uchwalenia potrzebnej sumy. Tylko co do rodzaju nowych podatków nie osiągnięto zgody. Konjunktury więc dla p. Sydowa bardzo są pomyślne. Z tego ogólnego dobrego nastroju postanowił także skorzystać pruski minister skarbu p. v. Rheinbaben, projektując znaczne podwyższenie pruskiego podatku dochodowego. Niektórzy mówią, że to podwyższenie ograniczy się do 25, inni, że do 33 procent. Nie brak jednak i takich, którzy obliczają, że będzie trzeba dołożyć 40—45 procent. W takim razie, ktoś, który obecnie przy 3000 mrk. dochodu płaci 60 mrk. podatku dochodowego, będzie później płacił 84 mrk. Ładne widoki.

W Marokku, co do którego nastąpiła pomiędzy mocarstwami wymiana not dyplomatycznych, (nota niemiecka dość dobre zrobiła wrażenie we Francyi) zaszedł znów przypadek przykry, który zaostrzył stosunki niemiecko-francuskie. Pokazało się, że Niemcy oddawna pomagają w dezertowaniu legionistom francuskim. Wiadoma, że francuska legia zagraniczna w większej połowie składa się z Niemców. Ostatnio znów w Casablance trzech legionistów Niemców postanowiło porzucić bezprawnie służbę francuską i oddało się pod opiekę niemieckiego konsula. W chwili, gdy mieli pod osłoną urzędnika konsulatu niemieckiego wsiadać na okręt, zostali przyaresztowani przez żandarmów francuskich. Protestującego zaś przeciw temu urzędnika konsulackiego żandarmi pobili. Sprawa ta narobiła wielkiej wrzawy w prasie, lecz zdaje się nie pociągnie za sobą poważniejszych następstw i będzie załatwiona pokojowo.

W Anglii, gdzie protestanci udaremnili procesyą z Najśw. Sakramentem podczas kongresu eucharystycznego, sposobią się katolicy do odwetu wobec panującej partyi liberalnej. Przy ewentualnych wyborach postanowili nie wybierać liberałów, biskup z Newcastle'u zaś kazał w kościołach odczytać pismo, w którem przypomniano katolikom, że mają obowiązek przy wyborach oddawać głos tylko takim mężom, po których się można spodziewać, iż nie pokalają zasad katolickich. Obecnie szkoły katolickie z powodu nowego projektu ustawy szkolnej są w wielkiem niebezpieczeństwie. Zakaz niesienia Najśw. Sakramentu w procesyi nazywa biskup obrazą najświętszych tajemnic wiary naszej. Do tych kłopotów dołącza się ciągły wzrost liczby robotników pozbawionych pracy. W Lancashire zaś wybuchł ogromny strejk i lokaut w tamecznym przemyśle przędzalniczym, który dotknął około 400,000 robotników wraz z rodzinami. Z trwogą więc wygląda rząd angielski zbliżającej się zimowej sesyi parlamentarnej.

W Austryi, a szczególniej w Krainie i Czechach na nowo wybuchły walki narodowościowe. W sejmie czeskim posłowie niemieccy urządzili ogromnie „kulturalną" demonstracyę, demolując pulpity i rzucając kałamarzami. Na zakończenie zaśpiewali pieśń „die Wacht am Rhein." Znaczy to, że urządzili demonstacyę nie tylko przeciwczeską, lecz antyaustryacką, prusofilską.

Znaczne zainteresowanie wywołuje zatarg bułgarsko-turecki. Bułgarya — mszcząc się na Turcyi za to, że ta jej w sprawie Geszowa dała uczuć swe prawa państwa suwerennego — skorzystała ze strejku, który wybuchł na kolei wschodniej, i obsadziła wojskiem tę część kolei, która przechodzi przez terytoryum wschodniej Rumelii, gdzie książę bułgarski jest tureckim jeneralnym gubernatorem. Gdy strejk ustał, Bułgarya kolei nie wydała, lecz oświadczyła, że ją zatrzyma za równoczesnem wynagrodzeniem interesentów. Turcya przedstawiła tę sprawę interesowanym mocarstwom, które stanęły po jej stronie. Jak się sprawa zakończy, trudno przesądzać. Kolej, o której mowa, stoi pod protektoratem austryackim. Zatem naruszyła Bułgarya ważne prawa austryackie, zabierając ją. Mimo to przyjmował cesarz Franciszek Józef ks. Ferdynanda bułgarskiego z nadzwyczajną okazałością w Peszcie i z honorami, jakie się należą książętom suwerennym. Książę Ferdynand, jakkolwiek jest tylko wasalem tureckim, występował wobec cesarza, jako suweren. Tendencyą Bułgaryi i jej ambitnego księcia jest osiągnąć zupełną od Turcyi niezależność. W rzeczywistości posiada Bułgarya wszelkie prawa państwa samodzielnego i tylko formalnie jest lennem tureckiem. Ze stanowiska słowiańskiego należy jej życzyć powodzenia w tej mierze. Jednakowoż, czy obsadzenie cudzych kolei jest stosowną drogą do tego celu — to inne pytanie. Sprawa zupełnego usamodzielnienia Bułgaryi ma jednak i drugą, ujemną stronę. Wiadoma, że w Konstantynopolu mieszka eksarcha bułgarski. Ten zaś jest głową *całego* kościoła bułgarskiego, a więc także Bułgarów zamieszkałych w Turcyi tj. w Macedonii. Pod nim też stoi *całe* szkolnictwo bułgarskie, a więc także bułgarskie szkoły w Macedonii od niego zależą. Z chwilą oderwania się Bułgarów od Turcyi, ta nie zniosłaby prawdopodobnie eksarchy w Konstantynopolu i podcięłaby jego wielkie wpływy kulturalne i polityczne w Macedonii, co dla ruchu wielkobułgarskiego byłoby strasznym ciosem. Jak widzimy nie jest usamodzielnienie Bułgaryi sprawą tak prostą i nieniebezpieczną, jakby to się na pierwszy rzut oka zdawać mogło — także ze stanowiska słowiańskiego budzi ona poważne obawy.

Na koniec należy zaznaczyć, że 3 listopada wybierać będą wyborcy Stanów Zjednoczonych walmanów t. zn. kolegium wyborcze, które w pierwszą środę grudnia da państwu nowego prezydenta. Od składu kolegium wyborczego będzie zależało, kto zostanie prezydentem. O palmę pierwszeństwa walczą głównie dwaj mężowie: demokrata Bryan i republikanin Taft. Jeżeli wszelkie poszlaki nie mylą ostatni będzie spadkobiercą Roosevelta i jego idei politycznej.

Z żałobnej karty.

Ś. p. Jadwiga Łuszczewska

(Deotyma.)

Dnia 23-go z. m. w południe zmarła w Warszawie w 76 roku życia ś. p. Jadwiga Łuszczewska, znana szeroko jako utalentowana poetka polska, pisząca pod przybranem mianem Deotymy.

Cnoty, miłość ojczyzny i gorące dla kraju i jego przeszłości ukochanie i uczucie miała po kim zmarła poetka odziedziczyć. Była wnuczką Jana Pawła Łuszczewskiego, posła na sejm wielki (1788) z pow. Sochaczewskiego, mianowanego później przez Napoleona I. członkiem izby najwyższej w rządzie tymczasowym, a nakoniec, po utworzeniu Księstwa Warszawskiego, ministrem spraw wewnętrznych i religijnych, który to urząd wysoki piastował przez 5 lat z wielką dla kraju korzyścią. Był także członkiem Tow. Przyjaciół Nauk, a jego „Dyaryusz sejmu ordynaryjnego pod związkiem konfederacyi generalnej obojga narodów" jest cennym zabytkiem i poważnem źródłem historycznem.

Jadwiga Łuszczewska urodziła się w Warszawie w roku 1835-ym z ojca Wacława i matki Magdaleny z Żółtowskich.

Ojciec jej wstąpił do służby publicznej przed powstaniem listopadowem, a później został wyższym urzędnikiem w komisyi spraw wewnętrznych. Na tem stanowisku wytrwał do r. 1863, w którym zesłany w głąb Rosyi, zmarł tamże po czterech latach ciężkiego wygnania.

Dom rodziców Deotymy był przez lat wiele jednem z głównych ognisk to-

warzyskich, a zarazem miejscem zebrań inteligencyi i świata literackiego.

Młoda dziewczyna zdradzała wcześnie wybitny talent w kierunku poetyckim, a zwłaszcza łatwość i zdolność do improwizowania. W poezyach tych, wypowiadanych zwykle na zadany temat, przebijało nie tyle uczucie, liryzm, ale raczej skłonność do dydaktycznej erudycyi, odzianej w piękną formę. Pomimo, że urodziła się, wzrosła i jako poetka działała najwięcej w epoce nazwanej dobą romantyzmu, to jednak romantyzm ten i jego cechy najmniej na umyśle poetki odbić się zdawały. Należała raczej do minionej doby klasycznej. Świadczą o tem pierwsze już jej dzieła: „Improwizacye i poezye" (Warszawa 1854 i 1858), jak i późniejsze „Tomira", „Polska w pieśni", „Lech", „Wyszomira", „Dwunastu wojewodów" itd. Tok i nastrój nieco zimny, trochę sztywny, bez istotnego, głębszego natchnienia, świadczące przedewszystkiem o nadzwyczajnej, wyjątkowej łatwości wierszowania, a przytem zalecające się zawsze pięknym, nieskalanym i czystym językiem polskim.

To samo rzec można o kilku (nieudanych) jej próbach dramatycznych i powieściach, jak: „Branki w Jasyrze", „Zwierciadlana zagadka", „Krzyż na rozdrożu", „Panienka z okienka" itd. To samo jeszcze o ostatnim jej poemacie „Sobieski pod Wiedniem", nie tak dawno ukończonym. Wszędzie piękny język, przeczysty tok wiersza, wszędzie erudycya jakby umyślna, jakby popisowa — ale przytem jakiś chłód, przechodzący w pewnego rodzaju monotonność. Jeszcze „Sobieski pod Wiedniem" pisany cały strofami oktawowemi, czyni wrażenie, jakby jego autor był współczesnym Koźmiana, Osińskiego, Dmochowskiego, lub w najlepszym razie Kazimierza Brodzińskiego, nie dzieckiem dzisiejszych czasów. Świat żywy, chwila, w której się obracała, wpływy współczesne, zmiana tonu, wymagań, nastroju — wszystko to nie wywierało na umyśle autorki żadnego wrażenia.

Żyła tylko pod wpływem natchnienia nieco sztucznego własnych tworów. Postacie jej nie są z tego świata, nie żyją pełnem rzeczywistem życiem. Widać z nich wyraźnie, że urodziły się, żyły i zmarły tylko w fantazyi autorki. Niema w nich krwi, namiętności ludzkich, rumieńca, ciała, kształtów; wszystkie mówią tylko bardzo ładne i poprawne wiersze, włożone im w usta przez poetkę. Są przeciwieństwem rzeczywistości, antytezą prawdy, sztucznym tworem. Poetka nie rozumiała nigdy realnej podstawy życia, bujała zawsze w przestworach, tak wysoko, że aż tam wiał chłód, tak daleko, że aż ztamtąd ludzkość, jej potrzeby, twory, żądze, walki — widać było tylko w ogólnym, powierzchownym obrazie, mającym pozór życia, nie dającym wyobrażenia o życiu samem. W postaciach opowiadanych przez nią, nie krążyła w żyłach krew, żyły tylko za sprawą pięknej tyrady poetyckiej, poprawnej formy językowej.

Deotyma miała różnych entuzyastów swego talentu. Dzięki im salon Deotymy był przez długie lata miejscem, gdzie się schodzili różni poeci i pisarze, słuchający z nabożeństwem coraz to nowych jej utworów, wygłaszanych na *czwartkach* u Deotymy. Cały świat literacki przeszedł przez te czwartki. Do niedawna jeszcze zgromadzały, ale coraz to mniej liczną rzeszę.



† **Jadwiga Łuszczewska (Deotyma).**
(Klisza sporządzona według fotografii z lat młodszych).

Deotyma zasłabła przed dwoma laty na raka w gardle. Pomimo dzielnej pomocy kilku lekarzy i opieki najbliższych, choroba była nieuleczalną. Ale formę ostrą, beznadziejną przybrała słabość dopiero od kilku dni. Dwa dni ostatnie, od niedzieli, były już agonią.

Dnia 25-go z. m. przeniesiono zwłoki poetki do kościoła Wszystkich Świętych, a pogrzeb odbył się dnia 26-go z. m. do grobu rodzinnego na Powązkach.

Hańba temu, ktoby się frasował o śmierć przed godziną lub w godzinę śmierci. *L. Krasiński.*

Ha! myślicie, że kto kocha
I umiera, ten już ginie?
Dla ócz waszych, dla ócz z prochu,
Lecz ni sobie, ni wszechżyciu!
Kto w poświęceń zmarł godzinie —
Ten się przelał w drugich tylko!
Mieszka w ludzkich serc ukryciu,
I z dniem każdym, z każdą chwilką
Żywy rośnie w tej mogile!

Tenże.

Żywot zbrodniarza.

W braku dobrych powieści kryminalnych w Ameryce opisał Julian Hawthorne, którego powieści ogólnie są znane, życie i czyny wielokrotnego mordercy Thomasa.

Opis ten wywołuje wielkie zajęcie psychologiczne. Był on z Thomasem ściśle zaprzyjaźniony, widywał się z nim przez cztery lata codziennie w Dreźnie i uważał go za najlepszego, najstarszego i najprzyjemniejszego człowieka. Hawthorne, uważający siebie, tak jak każdy z nas, za wytrawnego znawcę ludzi, nie przypuszczał ani na chwilę, że obcuje z zbrodniarzem, żyjącym z morderstw i będącym prawdziwym geniuszem w swoim szatańskim zawodzie zabijania ludzi.

Setki uczciwych ludzi w Dreźnie szanowało i ceniło „Toma," który Bóg wie zkąd przybywszy, znalazł się tam pewnego dnia w amerykańskim klubie i w książce się zapisał jako „Aleksander Thomas." Niskiego wzrostu, był jednak barczystym, i otyłym — przedstawiał on typ silnego, czterdziestoletniego mężczyzny, któremu wesołość, dobroduszność i chęć używania życia z „twarzy patrzały." Jego okrągła, tłusta twarz promieniała radością — jego śmiech serdeczny pobudzał innych do śmiechu, i w klubie wydzierano go sobie formalnie. Wieczorem grywał Tom chętnie w karty, lecz nie grał nigdy wysoko i znosił wygraną i przegraną zawsze z równie dobrym humorem. Czasem, gdy siedział późno w noc przy zielonym stoliku — zjawiał się służący za jego krzesłem, pochylał się ku niemu i szeptał tajemniczo:

— Pani Tom stoi na dole przy drzwiach i prosi, by pan szedł zaraz do domu.

I Tom wstawał natychmiast i odchodził. A pozostali goście śmieli się bez końca — bo też było niezmiernie śmiesznie, że ten tęgi, silny mężczyzna, siedział tak pod pantoflem małej, drobnej kobietki! Ale i to było dowodem jego dobroduszności. Kochał on bardzo żonę i dzieci, i cały swój dochód, wynoszący rocznie około 24,000 mrk., a stosunkowo skromny w porównaniu do jego potwornych zbrodni, poświęcał na stworzenie rodzinie wygodnego życia i miłego, zacisznego mieszkania. On sam nie miał żadnych kosztownych namiętności — ubierał i bawił się, jak skromny mieszczanin.

Dziwna rzecz, jak ten zbrodniarz potrafił zachować swoją straszną tajemnicę! Zdawało się, że to najgadatliwszy człowiek na świecie i że w przystępie dobrego humoru opowiada wszystko o sobie i o swej przeszłości. Słuchacze byli przekonani, że znają najtajniejsze zakątki jego duszy. Raz tylko można było powziąść przeciwko niemu pewne podejrzenie. Pewnego dnia pokazywał w klubie pewien młody człowiek rozmaite sztuki kuglar-

skie i wyciągał panom bez dotknięcia ich, zegarki z kieszonek, klucze i portmonetki. W końcu zwrócił się też i do Thomasa i trzymał już jego torebkę do listów w ręku, gdy zawsze łagodny i wesoły Tom rzucił się na niego, drżący od gniewu, i schwyciwszy go za gardło, o mało nie udusił.

Co się znajdowało wówczas w torebce? Śmierć mordercy wyjaśni to.

Dnia 11-go grudnia roku 1875 po obiedzie, siedział Thomas z jednym z swoich znajomych przed jakąś skromną restauracyą tuż przy porcie w Bremie. Dzień był dziwnie pogodny i powietrze ciepłe i słoneczne. Bystre oczy Toma zwrócone były na parowiec „Mosel“. Właśnie przenoszono i składano ładunek na parowiec. Winda podnosiła ciężary i spuszczała je przez otwór w pokładzie do wnętrza statku. Tą drogą szło też dosyć duże pudło, a raczej skrzynia, na którą Thomas bardzo patrzał uważnie. Skrzynia uniosła się w górę, zakołysała się w powietrzu i za minutę powinna była leżeć na dole. Tom odetchnął — i ująwszy szklankę z piwem, poniósł ją do ust.......

Ale piwa tego nigdy już nie wypił. Skrzynia podniesiona windą w górę zsunęła się nagle z haka, spadła z łoskotem na pokład i z hukiem, podobnym do grzmotu rozprysła się na tysiączne części. Wybuch był tak okropny, że słyszano go na kilka mil odległości. Granitowy mur w porcie rozpadł się na proch — okręt cały został rozbity, okna w sąsiednich ulicach powypadały z ram i przeszło dwieście osób poniosło śmierć na miejscu. Przyjaciel Thomasa spadł z krzesła, on sam stracił na chwilę przytomność. I dopiero gdy przyjaciel wstał, wyjął Thomas z kieszeni rewolwer, przyłożył go do ust i strzelił. Gdy go aresztowano, żył jeszcze, lecz nie mógł już ani jednego wymówić słowa. Godzinę później umarł.

Nosił on w torebce od listów od dawna już rewolwer, lecz nie chciał, aby ktoś o tem wiedział. Dla tego uniósł się wówczas w Dreznie takim gniewem, gdy mu wyjęto torebkę z kieszeni. Był on zawsze obecnym przy każdem przenoszeniu swych piekielnych maszyn z lądu na okręty, i dla tego miał zawsze rewolwer przy sobie, aby w danym razie uniknąć kary ziemskiej. Mogło się zdarzyć, że kapitan okrętu powziął jakieś podejrzenie i mógł kazać otworzyć skrzynię, albo że ekspozya za prędko powstała — jednem słowem, Thomas był zawsze na wszystko przygotowany i chciał się w porę usunąć.

Gdzie i jak budował on swoje piekielne machiny, to pozostało tajemnicą, tak samo, jak jego pochodzenie. Podczas kiedy mieszkał w Dreznie, zamawiał u pewnego ślusarza w Lipsku cylindry stalowe. Taki cylinder leżał poziomo w piekielnej machinie, a w nim, na prawej stronie znajdowała się przy aparacie zegarowym ściśnięta sprężyna, mająca stalowy, ostry koniec. Po lewej stronie dotykał otwarty koniec cylindra paczki z dynamitem, dosyć dużej, wystarczającej na wysadzenie w powietrze małej twierdzy. W środku cylindra leżał lont, tlący się bardzo wolno. Tak była maszyna piekielna zbudowana. Thomas zabezpieczał skrzynię bardzo wysoko i oddawał ją kapitanowi okrętu do przewiezienia. Zanim wieko zamykał, nakręcał zegar w cylindrze, łączył sprężynę z sznurem, i po upływie czterech lub pięciu dni, gdy okręt był już na pełnem morzu, następował straszny wybuch, o którym na lądzie nikt się nie dowiedział. Thomas zgarniał pieniądze za zabezpieczenie skrzyni, kupował wszystko żonie i dzieciom, a dla siebie zatrzymywał tylko tyle, aby grać pokera i budować nową maszynę. Odbywał on dalekie podróże, nie dla przyjemności tylko „w interesie“ — jeździł do Anglii, do Włoch, do Grecyi i t. p. Podług zdania amerykańskich policyantów, pracował on przed osiedleniem się w Dreznie głównie w miastach portowych amerykańskich. W roku 1870 zginęło w ten sposób dwanaście okrętów na Oceanie Spokojnym. Podług eksplozyi „Moseli“, obliczyli policyanci i agenci towarzystwa zabezpieczeń, że Thomas zgładził ze świata około 15,000 ludzi i że miał zarobku 120,000 marek. Za każde życie człowieka ośm marek!

Thomasowi zawsze uśmiechniętemu i dobrodusznemu nie zbywało też i na humorze. Razu pewnego wybierał się Julian Hawthorne do Anglii.

— Jakim parowcem pojedziesz pan? zapytał Thom.

— Franklinem.

Tom zamyślił się.

— Kochany przyjacielu, — rzekł po chwili, — taka podróż na morzu bywa niebezpieczną. Kto wie, czy się jeszcze kiedy w życiu zobaczymy! Wyprawię ci ucztę pożegnalną!

I wyprawił dla niego wspaniały obiad, nie szczędząc ani kosztów, ani trudu. Ze łzami w oczach żegnał odjeżdżającego przyjaciela. Hawthorne głęboko był wzruszony i zapewnia dziś jeszcze, — że łotr ten płakał prawdziwemi łzami i bolał szczerze nad rozłączeniem się z nim.

Obiad trwał tak długo, że Hawthorne spóźnił się i musiał innym jechać okretem. I nie żałował tego, „Franklin“ bowiem znikł bez śladu, z pasażerami i całą załogą.

Nie ulega wątpliwości, że na okręcie tym znajdowała się także piekielna maszyna Thomasa.

Śpiącym trupio — bądź przebudzeń gromem! *L. Krasiński.*

Czas jako powróz wiąże ducha do natury,
Póty męczyć się musisz aż zużyjesz sznury.
A. Mickiewicz.

Nieszczęsny, kto częściami do mogiły wrastał. *Tenże.*

Ci, co nad czas i miejsce ducha swego wzbili,
Mogą czucia wieczności doznać w każdej chwili.
Tenże.

Niemasz piękniejszej ozdoby dla trumny
Jak łza żałosna, brata kochanego.
Tenże.

Z salonu sztuki.

Odnowione według planów Gwozdeckiego salony Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych przy ulicy Bismarka Nr. 1, zapełniły się szeregiem płócien i kartonów i na nowo otworzyły gościnne podwoje dla publiczności, spragnionej widoku barwnych dzieł sztuki malarskiej.

U wejścia kościotrup (Hulewicza) w rogatej czapce z trąby mosiężnej śle grzmiące hejnały ku miastu, majaczącemu w oddali, zwołując wiernych na pokoje królowej Sztuki. Niestety ginie głos trąby w gwarze ulicznym. Zagłusza go turkot kół i łoskot przewalającej się ludzkiej fali. I tylko rzadki przechodzień dźwiga ciężar swego ciała po stromych marmurach, dzielących gwarny chodnik uliczny od cichych saloników naszego przybytku sztuki.

Posłuszni wezwaniu mistycznego trębacza i my podążamy na Wystawę. Zastajemy tam 85 dzieł malarskich, z których lwia część, bo aż 45 pochodzi z pracowni pana Jerzego Hulewicza, utalentowanego malarza wielkopolskiego. Prace te bardzo są nierówne pod względem artystycznej wartości. Obok rzeczy bardzo dobrych, znajdujemy płótna, które możeby lepiej nie były opuszczały pracowni artysty. Tak np. niewielki obraz, przedstawiający popiersie dziecka w niebieskiej sukience, namalowano sztywno i nieudolnie. „Dama przy fortepianie“ zamiast zarzutki koronkowej ma na sobie jakieś nieskończenie ciężkie i krępujące odziewadło i zapewne dlatego z taką bolesną rezygnacyą patrzy w mętne światło naftowej lampy. „Młode orle“ posiada uda, którychby mu pozazdrościł niejeden z tych Herkulesów, którzy niedawno temu w Domu Przemysłowym łamali sobie kości. Ostatecznie możnaby zgodzić się na uda, gdyby były sproporcyonowane z resztą ciała. Ale gdzież tam. Jestto sobie bowiem dość wątła dziecina, którą matka jedną wielką ręką trzyma na łonie, podczas gdy drugą, mniejszą znacznie, a nadomiar złego prawą, złożyła na kolanie. Jednakże zaprezentował nam p. Hulewicz także sporo obrazów dobrych, malowanych z talentem, wobec których zapomina się o tamtych chybionych. Do tej ostatniej kategoryi należy cały szereg małych pejzażów, a przedewszystkiem portrety, z pośród których najbardziej podobają się nam prace wyszczególnione w katologu pod numerami 6, 10, 13

i 14. Rozmiarami uderza wielkie płótno tegoż artysty p. t. „Król Wajdelotów“, tudzież „Nowoczesna Amazonka“, rzecz malowana z wielkim rozmachem i kipiąca życiem.

Innego typu i bardziej zrównoważona jest twórczość Władysława Skoczylasa. Mamy na wystawie szereg prześlicznych akwarel tegoż artysty, tudzież kilka większych olejnych obrazów. Jego „Jabłonie wieczorem“, „Ogródek wiejski“, „Krajobraz zimowy“ i niektóre akwarele pomniejsze mogłyby stanowić ozdobę każdej wystawy.

Bardzo dobry tak w rysunku jak kolorycie jest Czarneckiego portret purpurata. Nie można tego powiedzieć bez zastrzeżeń o akcie kobiecym tegoż malarza. Słusznie ktoś powiedział, że obraz ten pachnie szkołą.

Z kilkunastu bardzo ładnych rzeczy Zofii Sieniawskiej zasługuje na specyalną wzmiankę obok ślicznego pastelu „Marysia“, przecudny obraz p. t. „Kwiatki“. Jestto rzecz pełna blasków i światła o rysunku i kolorycie przedziwnie czystym i subtelnym. Kilka razy powracaliśmy do tego przepysznego malowidła, w którem ilealna czystość linii współzawodniczy z niewysłowioną pogodą i harmonią łagodnych, nieco stłumionych barw.

Na koniec należy wspomnieć z uznaniem o kilku kartonach Aleksandra Gryglewskiego z dekoracyami przeznaczonemi dla kościoła w Mikluszowicach w Galicyi.

Z powyższego pobieżnego przeglądu widzimy, że wystawy naszej powstydzić się nie potrzebujemy. Są tam rzeczy bardzo widzenia godne, zatem tylko zachęcić możemy naszych czytelników do pilnego zwiedzania wystawy.

R.

Z teatru.

„Słodka dziewczyna“, operetka w 3 aktach. A. Landesberga i Leo Steina, muzyka Reinhardta.

Nareszcie otrzymał nasz polski Poznań to, czego oddawna gorąco pożądał: operetkę. Długie lata byliśmy pozbawieni tego rodzaju widowisk. To, co nam czasem dawano pod mianem operetki, np. w zeszłym sezonie „Mamzelle Nitouche“, było tak dalece obcięte z braku odpowiednich warunków, umożliwiających takie przedstawienia, że nie zadowolało nawet najskromniejszych wymagań.

Zmieniło się to gruntownie.

Kto był na przedstawieniu „Słodkiej dziewczyny“, a było takich osobników dużo — dawno bowiem nie pamiętamy tak szczelnie a nawet nadmiernie zapełnionej widowni — ten przekonał się, że siły wokalne naszej sceny są na tyle dobre, że można wystawić operetę pod względem muzycznym zadawalająco, pod względem dekoracyjnym zaś świetnie, a to dzięki tej okoliczności, że nowa dyrekcya nie szczędzi pieniędzy na kostyumy, kulisy, efekta świetlne itd., co wszystko przyczynia się walnie do powodzenia sztuki, a często główny stanowi warunek powodzenia.

Zaznaczyć należy, że „Słodka dziewczyna“ podobała się naszej publiczności bardzo.

„Clou“ wieczoru stanowił występ dyrektora teatru naszego p. Andrzeja Lelewicza, który z niezrównaną finezyą odegrał rolę hrabiego Liebenburga i dostarczył dowodu, że jest prawdziwie wytwornym komikiem operetkowym. Nie dziwimy się wcale, że Lwów z wielkim żalem rozstawał się z swym długoletnim reżyserem. Ubytek bowiem takiej siły nie łatwo da się wyrównać. Poznań natomiast ma wszelki powód powinszować sobie nabytku artystycznego, który w osobie p. Lelewicza zdobył.

Pan Sawicki (Jan) dość zręcznie operuje swym niewielkim tenorem. Artysta powinien więcej uwagi zwracać na poprawność dykcyi i nie więzić głosu w gardle, który wskutek tego przybiera brzmień nosowych. Pani Stoklen, która objęła tytułową rolę, rozporządza ładnym sopranem o rozległej skali. Uzdolnienie jej jednak ,zaznaczające się w kierunku poważnej muzyki, przeszkadzało w uwydatnieniu muzycznego charakteru objętej roli. Także pod względem aktorskim kreowana przez p. Stoklen postać niejedno pozostawiała do życzenia. Panna Szlezynger — oprócz wyszkolenia głosu — posiada te warunki, jakie wymaga rola Loli Winter. Z sympatycznej roli Kasi Waringer wywiązała się artystka bardzo ładnie.

Udatny był Floryan pana Kopczyńskiego. Również p. Recheński zasługuje na uznanie. Pana Kosińskiego zaś, który groteskowym tańcem doskonale ubawił publiczność, obdarzono grzmiącemi oklaskami. Reszta osób występujących nie raziła niczem. Chóry — tu należy podnieść z szczególniejszem uznaniem dla kapelmistrza p. Lehrera — były wprost wspaniałe. Zazwyczaj w teatrach drugo- i trzeciorzędnych chóry zawodzą. Że się to nie dzieje w Poznaniu, za dobroczynne zrządzenie losu uważać należy.

Na koniec jeszcze raz należy podnieść, że sztukę wystawiono nadzwyczaj starannie, nie żałując ni zabiegów ni kosztów, by przedstawienie wypadło prawdziwie po europejsku. To też tłumnie zebrana publiczność nie szczędziła gorących słów uznania dla nowego kierownika sceny naszej i artystów. Zadowolenie ogólne wyraziło się nawet w zupełnie pochwytnej formie w postaci wieńca i bukietów ofiarowanych panu Lelewiczowi.

Oby ten nastrój sympatyczny był trwały! Od poparcia bowiem, jakie teatr znajdzie u publiczności naszej, zależeć będą jego przyszłe losy. *R.*

Ludomir Różycki.

Już w tegorocznym 21 numerze „Pracy“ daliśmy krótką sylwetkę sławnego muzyka i kompozytora naszego p. Ludomira Różyckiego z powodu powołania go na profesora konserwatoryum lwowskiego, a głównie z powodu artykułu p. Niewiadomskiego, który w „Słowie Polskiem“ domagał się mianowania Różyckiego dyrektorem opery lwowskiej.

Dziś, gdy życzenie p. Niewiadomskiego stało się faktem, przytaczamy w wyjątkach artykuł Leopolity Futurusa, zamieszczony w „Gazecie Narodowej“, aby czytelników naszych zapoznać bliżej z wybitnym muzykiem polskim.

Leopolita Futurus pisze:

Fakt zaangażowania Ludomira Różyckiego na kapelmistrza opery lwowskiej jest dla naszego miasta, dla naszej atmosfery muzycznej doniosłym. Zyskaliśmy muzyka o zakroju europejskim, rozporządzającego ogromnym talentem, wiedzą, kulturą i tem wszystkiem, co daje rękojmię, iż muzyczna kultura naszego miasta nabierze tężyzny zapewniającej jej dalszy normalny i wzorowy rozwój.

O Różyckim jako kompozytorze pisać nie pragniemy. Lwów jest wyjątkowem miastem, które zdobyło się na poznanie całej twórczości tego znakomitego muzyka, o którym tacy muzycy jak wielki symfonista Ryszard Strauss i genialny twórca „Jasia i Małgosi“ Engelbert Humperdinck — a więc najgłośniejsi dzisiejsi kompozytorowie — wyrazili się z wielkiem uznaniem.

Skreślimy szkic jego życia...

L. Odrowąż-Różycki urodził się w Warszawie 1883 r., gdzie kształcił się w konserwatoryum w grze na fortepianie oraz nauce kompozycyi. Konserwatoryum ukończył w 1904 r. z rzadiko udzielanem odznaczeniem: ze złotym medalem. Owocem studyów konserwatoryjnych jest grany we Lwowie „Stańczyk“ (scherzo na wielką orkiestrę) oraz „Ballada“ na fortepian i orkiestrę. Obydwa dzieła 16 letniego młodzieńca dowodzą mistrzowskiego już wówczas władania nowożytną orkiestrą, wzorowaną na Wagnerze; wówczas już po raz pierwszy wystąpił Różycki jako kapelmistrz własnych dzieł. Wprawdzie wiele skorzystał Różycki u swoich nauczycieli, ale jeszcze więcej... u

siebie samego, dzięki własnym studyom nad najtrudniejszemi partyturami. Że tak było, wystarczy porównać partycye utworów warszawskich nauczycieli Różyckiego z jego własnymi. Zanim przestał być ich uczniem, już ich przewyższał w doskonałości techniki kompozytorskiej.

Wkrótce wyjechał Różycki do Berlina, aby u największego z współczesnych kompozytorów, Ryszarda Straussa, zasięgnąć rad, gdzie ma dalej uczyć się... Strauss ujrzawszy kompozycye Różyckiego, roześmiał się i odpowiedział mu, że nie potrzebuje wcale uczyć się, gdyż to, czego się sam nauczył, wystarczy. Polecił więc Ludomirowi Różyckiemu, aby dalej uczył się u Bacha, Beethovena, Wagnera. Ale uparty twórca „Bolesława Śmiałego“, jakkolwiek umiał tyle, że nawet nieprzeciętny muzyk robiłby sobie z tej wiedzy renomę, udał się do Humperdincka... nie na naukę, lecz dla korzystania z jego wielkiego doświadczenia. Wiadomo jak Niemcy i nie Niemcy chwytają wszystko, co Strauss powie, i każde jego słówko komentują. Tak też i rozmowa Różyckiego ze Straussem obleciała prasę.

W r. 1905 powstał grany już we Lwowie „Bolesław Śmiały“. Rok ten pozostanie w muzyce polskiej pamiętnym. Grono równie jak Różycki utalentowanych kompozytorów polskich (Fitelberg, książę Władysław Lubomirski, Szeluta i Szymanowski) założyło pod protektoratem właśnie ks. Lubomirskiego „Spółkę nakładową młodopolskich kompozytorów“, mającą za zadanie urządzać koncerty kompozytorskie i wydawać kompozycye. Grono to powiększyło się później o równie wybitnych muzyków, jak Opieński i Karłowicz. Jeśli się zna stosunki nasze muzyczne i brzydkie skłonności wydawców, będących albo wydawcami albo protektorami galopad, polek i walców — wtedy uzna się ten fakt założenia takiej instytucyi za niezmiernie ważny i pocieszający.

Działalność księcia Władysława Lubomirskiego była nietylko efektowna, ale i patryotyczna i kulturalna. Bez niej gnębionoby dalej wielkie talenty. Dziś już można spoglądać z zadowoleniem na działalność dostojnego protektora i jego „Davidsbündlerów“. Wydano blisko 40 zeszytów i partytur orkiestrowych, urządzono dwa koncerty kompozytorskie w Berlinie i dwa w Warszawie, dwa odbędą się wkrótce w Wiedniu. Dyrygował Grzegorz Fitelberg, jeden z najznakomitszych naszych kompozytorów i kapelmistrzów. Mimowoli przychodzi nam na myśl, że artystyczny kierunek opery lwowskiej spoczywający w rękach Różyckiego i Fitelberga mógłby przynieść rezultaty, o jakich może i dyrektor Heller nie mógłby marzyć. Nie chcielibyśmy powiedzieć sobie: „Lasciate ogni speranza“. Zrazu spotkało się grono tych wielkich artystów z niedowierzaniem; później zaczęto już liczyć wielkie sukcesy, a znaleźli się tacy, którzy chcąc otrzeć się o blask sławy tej „młodej Polski w muzyce“ zaczęli naśladować to, czego naśladować nie można bez... talentu i... wiedzy, bez pracy i pominięcia sukcesów w gazetkach i pisania artykulików, sławiących swe czyny, których... nie było.

Po koncertach berlińskich był Różycki oblęgany przez pragnących nauczyć się czegoś u niego, ale twórczość nie dozwalała mu na zajmowanie się tem, co mogło mu być przeszkodą. Humperdinck pomijając wielu Niemców, zaproponował Różyckiemu objęcie profesury kompozycyi w jednem z konserwatoryów szwedzkich, ale Różycki odrzucił tę propozycyę, chcąc pracować dla dobra sztuki swej ojczyzny. Teraz zyskał możność. Nie należy stawiać mu przeszkody.

Doszło do naszych uszów, że wydział towarzystwa muzycznego nosi się z myślą ofiarowania Różyckiemu profesury gry na fortepianie. Każdy zgodzi się z nami, że jestto w stosunku do wiedzy i talentu tego znakomitego artysty nieco za skromne „stanowisko“, ale te zalety mają tę własność, że nawet na małem polu mogą zdziałać rzeczy wielkie.

Różycki jest doskonałym pianistą i kompozytorem wybornych fortepianowych utworów, zaznajomiony jest z najlepszemi i najnowszemi metodami zagra-



Ludomir Różycki.

nicznemi, a przytem posiada i tę rzadką u nauczycieli gry fortepianowej osobistą zaletę, i ważną zaletę, że jako kompozytor będzie ucznia wtajemniczał nietylko w techniczne tajemnice wykonywania, ale i w formę i twórcze właściwości kompozycyi granej, rzecz, na którą w całej kulturalnej Europie kładzie się dziś wielki nacisk. Wszak nietylko należy umieć grać, ale przedewszystkiem rozumieć daną kompozycyę. Apelujemy do rozumu wydziału Towarzystwa muzycznego, niech wraz z p. Hellerem podzieli się zdobyczą pierwszej wartości. Razem ze swymi kolegami, w szczególności zaś z p. dyr. Sołtysem może Różycki zdziałać wiele, bardzo wiele, dlatego nawet obowiązkiem wydziału tow. muzycznego jest sprawę załatwić jak najszybciej, bo spóźnienie może przynieść szkodę. Nie potrzebujemy dodawać, że działalnaść pedagogiczna i artystyczna Różyckiego może przynieść Lwowowi niejeden moralny sukces i wznieść go ponad inne miasta galicyjskie, gdzie nawet niedokończeni „muzycy“ i dyletanci zakładają szkółki, szumnie je nazywając i jeszcze szumniej reklamując.

Sława, jaką cieszy się Różycki, będzie tym magnesem, który niewątpliwie powiększy liczbę uczniów konserwatoryum, a to umożliwi nietylko oddanie p. Różyckiemu większych zadań, do jakich jest powołany, lecz także rozszerzenie działalności naszego konserwatoryum na te dziedziny, które nie były, gdyż nie mogły być przedtem uwzględniane. Załatwienie tej sprawy przez wydział będzie dowodem nietylko jego uczuć obywatelskich, ale i patryotycznych: wszak Lwów potrzebuje wielkich sił polskich w walce z wrogami kultury polskiej. Nie wolno tracić ani jednej placówki! Nie wolno tracić ani jednej siły, a zwłaszcza siły potężnej w talent, wiedzę, kulturę i ducha narodowego.

Nie wątpimy, że Różycki i jako kapelmistrz i jako pedagog będzie umiał poprowadzić swe hufce do artystycznej doskonałości, równie dzielnie, jak to uczynił jego dziad, słynny jenerał Różycki w walce o dobro ojczyzny.

Straszna katastrofa

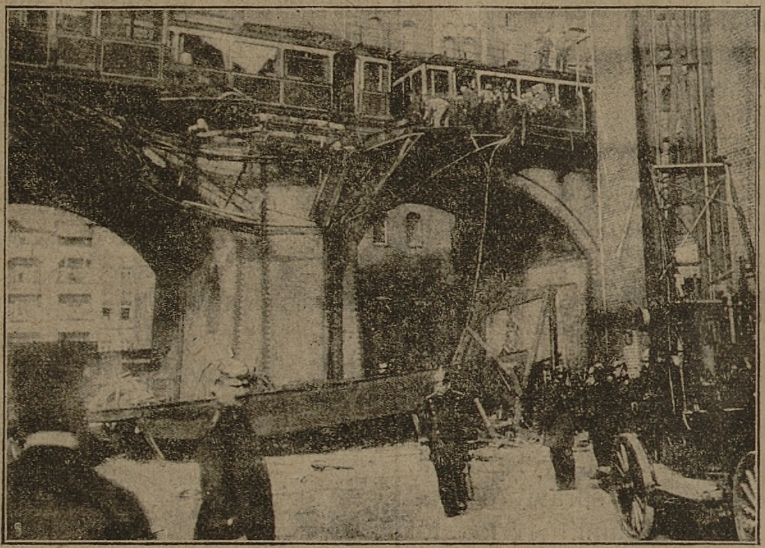
na górnej kolei berlińskiej.

Gdy przed kilku laty wydarzyło się nieszczęście na górno-podziemnej kolei paryskiej „Metropolitain,“ wskutek którego liczni pasażerowie utracili życie, głosiła z pewną wyższością prasa niemiecka oraz fachowcy, że podobna katastrofa na górno-podziemnej kolei berlińskiej zdarzyćby się nie mogła, gdyż i konstrukcya cała i środki zapobiegawcze urządzone są z najwyższą doskonałością.

Zeszłosobotnia straszna katastrofa, zachwiała tę wiarę i wykazała, że absolutnej pewności w dziełach, wykonywanych i obsługiwanych rękami ludzkiemi, nie ma i być nie może. Ludzie ludźmi są tylko. Wystarczyła nieuwaga, lekkomyślne niedopatrzenie jednego człowieka, aby spowodować klęskę, równającą się katastrofom elementarnym, aby pozbawić życia ojców rodzin i matek, osierocić liczne rodziny i sprowadzić na nich łzy i rozpacz, lub co gorsza prawie, uczynić wielu ludzi kalekami na całe życie.

Katastrofa nastąpiła o godz. 1 min. 40 po południu przed przystankiem Moeckernbruecke, tuż nad podwórcem towarzystwa hal targowych i lodowych. Kierownik motoru Schreiber jechał z pociągiem swoim od placu Lipskiego ku Moeckernbruecke. W tym samym kierunku pędził także pociąg z kierownikiem motoru Klemmem od ul. Buelowa. Pociąg ostatni dobiegł właśnie do trójkąta na torze, na którym krzyżują się pociągi, gdy w tem pierwszy pociąg z Schreiberem, nie zważając na sygnał: „stój!“ wjechał z całą siłą w bok drugiemu. Zderzenie było tak gwałtowne, że pociąg drugi, zdążający od ul. Buelowa z motorowym Klemmem, który według sygnału miał wolny przejazd, wyparty został z szyn; pierwszy jego wagon, III klasy, zerwawszy żelazną baryerę wiaduktu runął

z wysokości 8 metrów w dół wprost na podwórze Tow. hal lodowych pociągając za sobą drugi wagon, II klasy, który przechylił się przez wiadukt i byłby niechybnie runął również w dół, gdyby się nie było zerwało połączenie z wagonem pierwszym. Kilka osób wyrzuconych zostało z wozu tego, lecz po części uszli cało; w trzecim wagonie, III klasy, nie odnieśli pasażerowie oprócz lekkich kontuzyi także większych ran. Również szczęśliwie ocaleli pasażerowie i personał pociągu, który spowodował katastrofę. Natomiast kierownik motoru Klemm został ciężko zraniony, a towarzysz jego Fink ma obie nogi odcięte.



Miejsce katastrofy; na ziemi leżą zmiażdżone trupy ludzkie, zmieszane ze szczątkami rozbitego wagonu.

Tymczasem z podwórza, na które runął wagon, podniosły się rozpaczliwe krzyki i jęki. Wagon, okręciwszy się około siebie w powietrzu padł roztrzaskując się w tysiące kawałków i pokrywając sobą około 40 pasażerów. Natychmiast zaalarmowano stacye ratunkowe, pogotowie i służbę sanitarną; straż ogniowa nadbiegła pędem, a władze kolejowe przysłały pociąg ratunkowy z służbą i instrumentami. Zanim jeszcze zdążyli przybyć lekarze poprzenoszono rannych do kantoru Towarzystwa hal lodowych, które znów transportowało ich w wozach od lodu do lazaretów. Niezadługo zjawiła się służba z noszami, przenosząca strasznie zeszpecone trupy do pobliskich trupiarń i lazaretów. Widok ofiar był wstrząsający. Jeden z pasażerów, którego głowa była zupełnie poszarpana i zmiażdżona, żył jeszcze kilka minut. Pewna kobieta, która straciła rękę aż do ramienia, błagała o trochę wody. Gdy jej podawano płyn, skonała. Na noszach znów widać było zupełnie zczerniałego trupa człowieka, którego zabił prąd elektryczny.

Miejsce katastrofy przedstawiało obraz, na widok którego krew stygła w żyłach. U stóp nieszczęsnego trójkąta, uchodzącego dotychczas za szczyt sztuki technicznej kolei górnej, rozciąga się ogromny plac, na który spadł wagon — roztrzaskany teraz w tysiące atomów. Z bezładnego stosu drzazg, drutów elektrycznych, potrzaskanych szyb i kół, sterczy dolna część wozu wśród gorączkowej krzątaniny strażaków, policyantów i służby sanitarnej. U góry, nad łukiem trójkąta na torze, widać wiszący wagon kolejowy, grożący każdej chwili zwaleniem się w dół. Część dolnego podmurowania zarwała się, a szyny wiszą obok wagonu.

Zaraz po rozszerzeniu się strasznej wieści, zaczęły napływać tysiączne tłumy na miejsce katastrofy, tak że przystępu do niego bronić musiały silne kordony pieszych i konnych policyantów. Wśród tłumów widać płaczące kobiety i dzieci, niepewne o los swoich najbliższych i dopytujące się o wygląd i nazwiska ofiar, których tożsamości w pierwszych godzinach po nieszczęściu nawet stwierdzić nie było można. Wnet rozniosła się wieść, że ciała poprzenoszono do morgi przy Hannoverschestr. Tam więc znów zebrały się tłumy błagające o dostęp do trupów.



Wagon II. klasy ocalony od katastrofy.

Dopiero wieczorem można było stwierdzić tożsamość niektórych zabitych i wtedy rozgrywać się zaczęły wobec trupów nie dające się opisać sceny rozpaczy. Wśród grozę budzących, spazmatycznych łkań rozpoznawali mężczyźni, kobiety i dzieci najbliższych swoich, którzy przed kilku dopiero godzinami rozstali się z nimi w pełni zdrowia i życia, a którzy teraz leżeli przed nimi martwi, zeszpeceni do niepoznania. Do niedzieli rana stwierdzono 16 zabitych i 18 ciężko rannych.

Zaraz po usunięciu zabitych i rannych z miejsca nieszczęścia, wdrożono śledztwo nad przyczyną katastrofy.

„D. B."

Z dziedziny hygieny.

O nerwowych dzieciach.

W tym wieku nerwowym, kiedy każdy z nas z najwyższym śledzi niepokojem, czy i w jego dzieciach nie rozwijają się objawy owej nieszczęsnej nerwowości, wielce jest interesującym głos znanego psychiatry wiedeńskiego, Dra Krafft-Ebinga, który w ten sposób formułuje swe rady, jak należy postępować z dziećmi nerwowemi i jak je wychowywać..

Nerwowo chore dzieci powinny jak najwięcej przebywać na powietrzu, najzbawienniejszym dla nich jest stały pobyt na wsi lub nad brzegiem morza. Należy unikać dla nich drażniących wrażeń zmysłowych, jak częstego i długiego hustania się, długich podróży i przebywania na upale. Wcześnie trzeba je zacząć hartować za pomocą chłodnych obmywań. Pokarmy powinny być posilne, mieszane, przy wielkiej obfitości mleka; kawa, herbata, napoje wyskokowe zupełnie się wykluczają. Przy wielkiej troskliwości o zdrowie fizyczne dziecka, nie należy go trapić ciągłą bojaźliwością. Wiele nerwowych dzieci zasypia z trudnością i budzi się w nocy z przestrachem.

Takie istoty nie powinny spać same w pokoju i nigdy w zupełnej ciemności. Środki nasenne używane bez lekarza mogą mieć wpływ bardzo zgubny; dla zapewnienia dziecku spokojnego snu wystarcza często chłodny, dobrze przewietrzony pokój i letnia kąpiel przed położeniem się do snu.

Szczególnej pieczołowitości wymagają dzieci nerwowe w niebezpiecznym czasie rozwijania się. Gdyby zaszły wówczas jakieś zaburzenia w organizmie jak np. blednica, brak apetytu, bezsenność należy bezzwłocznie wezwać lekarza. Dziewczynki szczególniej, formując się, potrzebują niesłychanie troskliwej opieki. Starannie unikajmy wówczas wszystkiego, co budzi zmysłowość. Ciągłe siedzenie w pokoju, życie miejskie; czytanie romansów, lekcye tańca, zbyt wczesne wprowadzenie do towarzystwa dorosłych, jakoteż używanie napojów wyskokowych działają tu stanowczo bardzo zgubnie. Umiarkowane odży-

wianie się, dużo ruchu, życie wiejskie z jego przyjemnościami, ciągłe kąpiele i chłodne obmywanie się utrzymują ciało w czystości fizycznej i moralnej. Obowiązkiem rodziców i wychowawców szczególniej też po miastach, jest baczne zwracanie uwagi, z kim przestają młodzi ludzie.

Rozumnie prowadzone wychowanie jest potężnym środkiem zwalczającym nieraz bardzo skutecznie wrodzoną nerwowość.

Głównym błędem, jakiego się dopuszczają nerwowi rodzice względem swych również nerwowych dzieci, to zbyt wielka surowość lub też zbyt wielka pobłażliwość, rozpieszczanie, wychowanie na istoty sentymentalne. Jeżeli rodzice są drażliwi, podnieceni, dziwacy, hypokondrycy, histerycy, byłoby wówczas wielce pożądanem, żeby dzieci nie wychowywały się w domu rodzicielskim i nie nabrały przez samo naśladownictwo tychże wad, charakteru i dziwactw; gdyby się zaś nawet tego ustrzegły, to w każdym razie nie trzeba ich wystawiać na skutki opacznego w tych warunkach wychowania. Pomieszczenie nerwowych dzieci w pensyonatach jest zupełnie niewłaściwem, gdyż potrzebują one opieki wnikającej z wielką subtelnością w ich indywidualność — w okresie zaś rozwoju płciowego starannego wymagają dozoru. W takich razach zalecać przedewszystkiem należy wychowanie w domu pedagoga, mieszkającego w warunkach zbliżonych do wsi. Wielkie miasto jest zgubą dla tego rodzaju indywiduów. Wcześnie również należy tu oddziaływać na charakter i sferę uczuć. Powinniśmy się starać umocnić charakter dziecka, od początku zaraz karać surowo namiętne wybuchy — nie dać się rozwinąć drażliwości. Przyzwyczajajmy nerwowe dzieci wcześnie do posłuszeństwa,— nauczmy je panowania nad sobą i spokojnego zapatrywania się na życiowe stosunki. Należy się strzedz przedwczesnego pobudzania wyobraźni opowiadaniem bajek i historyi o duchach, nad czytaniem ścisłą należy prowadzić kontrolę.

U wielu nerwowych dzieci wcześnie bardzo rozwija się inteligencya, rozwój ten należy hamować ze wszystkich sił. Rzadziej spotykamy tu opóźnienie rozwoju umysłowego, wówczas wielką należy mieć cierpliwość. Należy tu strzedz każdego wysiłku mózgu.

Dzieci takie powinny jak najpóźniej być pomieszczone w szkole, nie przeciążane prywatnemi lekcyami muzyki i języków, a natomiast niech się jak najwięcej gimnastykują i używają wszelkich ćwiczeń fizycznych wśród otoczenia przyrody.

Nerwowo obciążeni chłopcy nie nadają się zupełnie do studyów w dzisiejszych gimnazyach i nie powinni obierać sobie zawodu uczonych. Zajęcia techniczne albo zawód nie wymagający ukończenia uniwersytetu są dla nich najbardziej odpowiednie, ale zwykle tu staje na zawadzie próżność rodziców. Gdyby chłopiec taki został gospodarzem oszczędzonoby mu w wieku późniejszym ciężkich nerwowych chorób. W każdym razie nie mordujmy **dzieci nerwowych studyami, do których** brak im ochoty i uzdolnienia, które odbywają one z wysiłkiem, wciąż się narażając na utratę zdrowia fizycznego i umysłowego. Właściwy t. j. odpowiadający indywidualnym siłom i zdolnościom wybór powołania jest dla nerwowych osobników rzeczą niezmiernej wagi i ukoronowaniem starannie wzniesionego gmachu ich wychowania. Niejeden idzie na dno na burzliwych falach życia, dlatego tylko, **że niewłaściwie obrał sobie powołanie.**

Dr. Krafft-Ebing.

NASZE RYCINY.

Matka Boska Różańcowa.

Na pamiątkę zwycięztwa chrześcijan pod Janem z Austryi nad Mahometami w bitwie morskiej pod Lepanto r. 1571 ustanowił papież Pius V. doroczną uroczystość Matki Boskiej Zwycięskiej; ponieważ walna owa bitwa przypadła na 7 października a zarazem pierwszą niedzielę tego miesiąca, dlatego i nowe święto obchodzić się miało w pierwszą niedzielę października. Dwa lata później zmienił papież Grzegorz XIII nazwę uroczystości, poświęciwszy ją Matce Boskiej Różańcowej; uczynił to dla tego, że mocy Różańca św. przypisywał tryumf sprawy chrześcijańskiej nad pogańcami. Było to święto pierwotnie ograniczone, bo tylko tam się obchodziło, gdzie był ołtarz lub była kaplica pod wezwaniem Matki Boskiej Różańcowej. Dopiero Klemens XI rozszerzył uroczystość na cały Kościół bez wyjątku, gdy książę Eugeniusz odniósł r. 1716 pod Peterwardein nowe, rozstrzygające nad Turkami zwycięstwo. Święto Różańcowe nie mały posiadało przywilej: każdy zdobywał odpust zupełny, kto przy odpowiednich warunkach nawiedził kościół lub kaplicę różańcową. Papież Pius IX odnowił w r. 1862 ten przywilej, który powoli przechodził w zapomnienie. Uroczystość znacznie się jeszcze podniosła, gdy Leon XIII r. 1883 nakazał przez cały październik odprawiać różaniec we wszystkich kościołach katedralnych i parafialnych oraz w świątyniach poświęconych ku czci Maryi; nadto dołączył r. 1883 do litanii loretańskiej wezwanie: „Wspomożenie wiernych — módl się za nami.“ Swego czasu Pius V dodał był wezwanie: „Wspomożenie wiernych — módl się za nami.“

Różaniec jest modlitwą, którą czcić mamy Maryę w myśl Jej uroczystości październikowej; sięga on pierwszych wieków chrześcijańskich, jakkolwiek pierwotnie polegał wyłącznie na powtarzaniu tych samych modlitw, przyczem kamyczki lub ziarnka, wreszcie węzły robione na sznurku, lub ziarnka na sznurek nawlekane, świadczyły o mniejszej lub większej ilości modlitw odmówionych. Pierwszy św. Dominik w XIII wieku nadał różańcowi właściwy charakter, gdyż pouczony od Matki Boskiej, złączył odmawianie modlitw z rozważaniem tajemnic wziętych z życia Chrystusa i Panny Maryi.

Różaniec składa się z 15 dziesiątków „Zdrowaś Marya“, z których każdy zaczyna się od modlitwy Pańskiej, a kończy się słowami: „Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi św.“ Do każdego dziesiątka przywiązana jest jedna z 15 tajemnic, a uczczenie jej jest głównym celem różańca. Dlatego podczas odmawiania różańca trzeba umysł i serce zwracać do tajemnicy odpowiedniej, aby zyskać łaski i odpusty przyznane tej modlitwie. Jest to modlitwa prosta i łatwa, a zatem dostępna dla wszystkich, a ponieważ złączona jest z rozmyślaniem, przeto pomimo ciągłego powtarzania tych samych słów nie nosi na sobie cechy jednostajności i nie nuży modlącego się. Ciągłe powtarzanie wskazuje niejako jak gorącą i szczerą ma być ta modlitwa, jak bardzo powinna wypływać z serca kochającego, które, gdy kocha Boga, nie dobiera wtedy słów, bo miłość zna tylko jedno słowo, a słowo to zawsze z duszy płynie.

Nasza rycina albumowa obrazuje chwilę, w której Najświętsza Dziewica objawiła różańcowe nabożeństwo św. Dominikowi; obok św. Dominika klęczy św. Róża, dziewica z Limy, która w myśl objawienia, jakiego doznała, przyjęła przydomek „Róża“ od Najśw. Maryi; na chrzcie św. dano jej nazwę Izabeli czyli Elżbiety.

Twórcą pięknego obrazu jest nasz pobratymiec, artysta słowiański, S. Urbanija.

Zebrania i zjazdy.

* *Związek podróżujących kupców* na rzeszę niemiecką w Poznaniu, odbędzie swe miesięczne zebranie w niedzielę dnia 4 października rb. przed południem o godz. 10 w lokalu posiedzeń „Pod Bernardynami“, przy placu Bernardyńskim. Dla ważnych spraw Związku, pożądany jest jak najliczniejszy udział szanownych kolegów.

Na mocy par. 19 ustaw naszych wzywamy szan. kolegów o łaskawe uiszczenie się w zaległych składkach na ręce skarbnika naszego kol. Jana Szymańskiego, Poznań, przy ul. Lessinga nr. 11, (Posen W. 7, Lessingstrasse 11). *Zarząd.*

* **Żerków.** Towarzystwo Przemysłowe w Żerkowie obchodzi dnia 4. 10. 08. 25-letnią rocznicę założenia. Ze względu na powyższą uroczystość, jak i na ważność kwestyi, będących na porządku obrad, zapraszamy niniejszem szan. Towarzystwa Przemysłowe do licznego współudziału. Mianowicie zapraszamy na gody nasze wszystkich byłych prezesów i członków Towarzystwa naszego, których z powodu braku adresów listownie zaprosić nie możemy.

Cześć Przemysłowi!

Zarząd.